№ 28. Warszawa, dnia 27 Czerwca (9 Lipca) 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

GŁÓWNE CECHY CHARAKTERU ANGLIKA.

OPRACOWAŁA

Helena Ros...

Ognisko domowe. — Stosunek dzieci do rodziców. — Wychowanie dzieci w Anglii. — Guwernerzy i guwernantki. — Powaga ojca rodziny. — Służba angielska. Stanowisko kobiety w Anglii.

(Dalszy ciąg.)

Ponieważ Anglik więcej dba o rozwój fizyczny młodzieży jak umysłowy, nie może więc sobie żadną miarą wyobrazić, jak dziecko mogłoby się wychowywać w ciasnej, dusznej atmosferze czterech szczelnie zamkniętych ścian pokoju. Dlatego to, prawie wszystkie średnie zakłady naukowe, znajdują się po za miastami, w pięknych okolicach pośród rozkosznych łąk i gajów, służących dla zabawy uczniów. Budynki szkolne nie noszą tam charakteru ogromnych, ponurych klasztorów, jak w innych krajach Europy, ale widok ich nader miłe sprawia wrażenie. Główny budynek wraz z ugrupowanemi wokoło: kapliczką, domkiem nauczyciela i pensyonarzy i innemi przybocznemi budynkami, przedstawiają malowniczy obrazek małej osady.

Obowiązki głównego nauczyciela, czyli przełożonego zakładu, pełni zwykle osobistość duchowna, która obok innych przedmiotów, wchodzących w zakres nauk szkolnych, wykłada przedewszystkiem naukę religii i moralności. Cała niedziela i poranek poniedziałku poświęcone bywają temu przedmiotowi, a codzień wieczorem i rano przełożony szkoły, odczytuje w obec wszystkich uczniów i pensyonarzy w wielkiem skupieniu ducha, główne modlitwy i kilka rozdziałów z Biblii.

Głównemi przedmiotami, na które szczególniejszą zwraca się uwagę w zakładach naukowych w Anglii, są języki starożytne: łacina i grecki. Matematyka usuniętą została na plan drugi, a zaś nauki przyrodnicze i języki nowożytne zajmują miejsce ostatnie. Język ojczysty nie stanowi oddzielnego, obowiązkowego przedmiotu, młodzież uczy się go dopiero w praktyce.

Rygor i surowa karność szkolna w szkołach angielskich posunięte są do nieubłaganej ostateczności. Uczeń za najmniejsze przekroczenie, za spóźnienie się, lub inne, choćby lekkie tylko przewinienie, bywa zagrożonym: pozbawieniem wakacyi, zamknięciem kilkodniowem, lub też wydaleniem zupełnem ze szkoły.

Tym sposobem, powtarzają anglicy, człowiek wcześnie pozna co to jest życie, pojmie, że przeznaczeniem jego jest sumienne wypełnianie swoich obowiązków, a że ma wolną wolę, jest zatem odpowiedzialnym za swoje postępki.

Ponieważ w zakładach naukowych nie ma stałych nauczycieli miejscowych, czyli t. zw. dozorców szkolnych, mających obowiązek dozorowania małych, starsi więc uczniowie, przebywający już w zakładzie od dwóch, trzech lat, zmuszeni są doglądać i opiekować się młodszymi. System podobny więcej przynosi złego niż dobrego. Młodzieńcy, niedoświadczeni naturalnie, używają władzy swej z niepomiernym despotyzmem i samowolą karząc i pastwiąc się nad malcem niemal za lada jakie przewinienie. Do postępowania podobnego zachęca ich i to, że władze szkolne faworyzują dziwny ten system wychowania; faworyzowanie takie pociąga za sobą bardzo złe skutki: psuje zaród dobrego w młodzieńcu, wyrabia w nim ostry i przykry charakter, samowolę i despotyzm. Wychowańcy po lekcyach cieszą się zupełną swobodą czasu, mogąc z nim robić co im się podoba. Wolno im oddawać się rozmaitym grom i zabawom, ku czemu urządzone są specyalne salony, w których uczniowie namiętnie i zapamiętale ćwiczą się w gi-

mnastyce i fechtunku, grają w piłkę, lub krokieta i t. d.

Zręczniejsi, zwycięzcy i w ogóle uczniowie odznaczający się w grach i zabawach, bywają wynagradzani od zwierzchności.

Jakkolwiek zabawy podobne wywierają wpływ wielce zbawienny na rozwój fizyczny ciała i na zdrowie prawie zawsze u dzieci angielskich kwitnące, odrywają przecie chłopca od nauki i przytępiają zdolności umysłowe. Pomimo tego jednak ze szkół angielskich wychodzą ludzie wykształceni i rozumni, przynoszący pożytek sobie i społeczeństwu. Wielce się do tego przyczyniają: wpływ i życie społeczne, wolny przystęp do każdej gałęzi wiedzy, możność pracy w tej lub owej gałęzi nie znajdująca żadnej na drodze tamy.

Wszystkie myśli Anglika, wszystkie marzenia i nadzieje jego koncentrują się i skupiają koło jednego punktu. Nad rodzinę bowiem, nad ognisko domowe, jednem słowem nadewszystko miłuje on i uwielbia swoją ojczyznę, kraj swój rodzinny. Z dumą i entuzyazmem wyraża się o bezmiernej wielkości i potędze swego kraju.

Według pojęć jego, Anglia jest najbogatszem, najsilniejszem i największem państwem w całym świecie. Wydaje ona największych ludzi i najsławniejszych geniuszów. Starają się też zawczasu wpoić w dzieci swoje podobne pojęcia; a do jakich absurdów i śmieszności dochodzi nieraz ich duma narodowa dowodzi tego fakt następujący. Pewien podróżnik francuzki, podczas bytności swojej w Sydney, zwiedził między innemi i szkołę. Przy egzaminie zapytuje chłopca *):

— Gdzie mieszkasz mały?

— W Sydney — brzmiała chłodna odpowiedź małego Anglika.

— A w jakim kraju i w jakiej części świata jest Sydney?

— W Anglii — odpowie chłopiec.

— Pokaż mi mały Anglią i odznacz mi jej granice ot tu na mapie — rzecze zdumiony egzaminator.

— Anglia nie ma granic, Anglia jest wielką, potężną, Anglia jest bezgraniczną — odparł z dumą i godnością uczeń, nie ruszając się z miejsca.

W domach arystokratycznych, w Anglii, oprócz licznej rodziny, ciotek, krewnych, znajdują się jeszcze guwernerzy i guwernantki. Wychowawcy młodzieży w Anglii, niestety zajmują stanowisko wcale niepoczesne. Stosunek ich do gospodarstwa nietylko że nie jest zażyły lub przyjacielski, ale wprost odpychający. Pomiędzy gospodarzem a guwernerem stoi nieprzeparta lodowa zapora, nie dozwalająca nigdy zbliżyć się ku sobie ludziom, pod jednym mieszkającym dachem. Anglicy traktują wychowawców swoich dzieci na równi ze służbą, z tą tylko różnicą, że dozwolonem im jest, przy ogólnem obiadować stole, to jest razem z całą rodziną.

Guwerner siedzący pomiędzy swoimi wychowańcami, nie bierze pod żadnym pozorem udziału w ogólnej rozmowie; nikt się też doń nigdy nie zwraca. Byłoby to bowiem, wykroczeniem nie do darowania przeciw etykiecie salonowej, zdradzającem brak wychowania i obejścia.

Zaledwie się kończy obiad, guwerner lub guwernantka oddawszy przedtem sztywny, ale nizki ukłon wszystkim obecnym, zmuszeni są natychmiast oddalić się ze swoimi wychowańcami, do wyłącznie dla nich przeznaczonych apartamentów, znajdujących się zwykle na najwyższem piętrze domu. Zdarzyło się, że francuzki guwerner znający poprzednio pewną damę, która właśnie była na obiedzie u jego gospodarstwa, zbliżył się do niej z galanteryą i w ożywioną z nią wdał się rozmowę. Gospodarz domu zmarszczył brwi:

— Panie — wyrzekł gospodarz dumnie i wyniośle — miejsce twoje jest obok wychowańców twoich. Obiad się skończył, nic was więc nie zatrzymuje.

Naturalnie, że Francuz nazajutrz podziękował za miejsce.

Dlatego to żadne cieplejsze uczucie nie wiąże kierowników młodego pokolenia w Anglii z ich pupilami. Jeźli np. guwerner lub guwernantka zmuszeni bądź z powodu choroby, bądź dla innej jakiej ważnej przyczyny, opuścić dom, w którym przebyli, przypuśćmy lat dziesięć, dwanaście, objawiają zamiar swój państwu, a ostatni nie okazując najmniejszego zdziwienia, przyjmują wiadomość zimno, obojętnie nie pytając nawet dlaczego. Nazajutrz nie ma już i mowy o osobie, która przez tyle lat opiekowała się i kierowała wychowaniem ich dzieci, nieraz pielęgnując je z poświęceniem i zaparciem się siebie prawdziwem. Maszynę zastępują nową maszyną i rzecz skończona. Smutny to objaw cywilizacyi, nie powiem zacofanej, ale całkiem przeciwny nowym prądom.

Dom na takiej postawiony stopie, jakieśmy go powyżej opisali, wraz z rodziną, krewnemi, guwernerami, nauczycielami i bardzo liczną służbą, nosi charakter małego państewka, którego panem i władzcą niepodzielnym jest ojciec, jako głowa rodziny. Sprężystą dłonią dzierży on cugle domu, wydając rozkazy niezłomne, a żelazna wola jego wymaga od wszystkich ślepego posłuszeństwa.

Cały ciężar obowiązków na jego spoczywa barkach. Pełni też z nieporównaną godnością i znajomością powinności swoje, które powołanie ojca rodziny nań wkłada.

Nieubłaganą wolę jego nic w świecie złamać nie zdoła. Wydawszy raz rozkaz, polecenie jakie, nie cofnie go nigdy. Stanowczy i niezłomny w swoich postanowieniach, jest zwykle małomówny; działa z namysłem i z rzadką powagą, podtrzymuje subordynacyą, porządek i zgodę w domu. Rozkaz przez niego wydany, spełniony być musi nieodwołalnie, bez wszelkiej repliki. Nawet dzieci dorosłe, choć już samodzielne, dopóki mieszkają w domu ojca, bez szemrania i z poddaniem się wypełniają i dogadzają najmniejszym jego zachciankom i fantazyom. A zresztą, absurdem by było poprostu, sprzeciwiać się nieugiętej woli ojca rodziny.

Żona często pomaga mężowi w gospodarstwie, szczególniej gdy gospodarstwo jest obszerne i rozgałęzione. Wszakże władza jej nie rozciąga się zbyt daleko; często zwraca się z tem lub owem do męża, który jako głowa domu, jako sędzia, jako najwyższa instancya, panuje w domu wszechwładnie i sam wszelkie roztrząsa sprawy.

Ojciec rodziny często dzielnie i umiejętnie przewodniczy i zarządza domem. Trzymając się twardo surowych zasad swoich, działa i czyni wszystko z niezmiernym spokojem, nie opuszczającym go nigdy, nie unosi się, nie gniewa, co byłoby zresztą ubliżeniem godności osobistej. Wydawszy raz polecenie jakie, nie powtórzy go nigdy; wymaga jeno od podwładnych i wszystkich domowników ślepego nieograniczonego posłuszeństwa. Czynny i pracowity, mówi bardzo mało, zaledwie to tylko, co jest konieczne.

(*Dokończenie nastąpi.*)

---

*) Chłopiec tylko co powrócił z Londynu, gdzie pobierał nauki przez lat trzy.

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Na najstarszą córkę też liczyć nie mogła. Janina bowiem, bardzo powolnego i łagodnego usposobienia, była zupełnie pod wpływem męża, jego myślami myślała, jego frazesami mówiła; w sprawach zaś pieniężnych, w ważniejszych interesach żadnego głosu nie miała i nie rozporządzała niczem. Z tej więc strony, niczego się nie było można spodziewać.

Zatruwała też ciężkie chwile radzczyni niepewność co do losu Stasi. Narzeczony nie pokazywał się i żadnego znaku życia o sobie nie dawał, a że w Warszawie stale nie mieszkał i znajomych wielu nie miał, więc nie było nawet kogo zapytać co się z nim dzieje.

Stasia nie wspominała o nim ani słowa, a Czesław zapytywany o niego przez matkę, dawał odpowiedzi wymijające i niechętne. Nie chciał biednej kobiecie nowych zmartwień przysparzać.

Pani radzczyni widząc, że od dzieci niewiele się dowie, postanowiła zbierać wiadomości na własną rękę. Przez kilka dni z rzędu wychodziła do miasta, w nadziei, że spotka którą z dawnych znajomych i od niej informacyi zasięgnie.

Los w takich razach bywa szczególniej usłużny, a niepomyślna wiadomość przychodzi zazwyczaj bardzo szybko.

W głównej alei Saskiego Ogrodu, jakoś przed samem południem, spotkała pani radzczyni dobrą swoją znajomą, niedawno przyjaciołkę od serca, a niegdyś koleżankę z pensyi.

Panie rzuciły się jedna drugiej w objęcia, wycałowały serdecznie i powiedziały sobie tysiące komplementów na poczekaniu.

— Droga, kochana pani! pomimo tylu zmartwień i żałoby, zawsze prześliczna, zawsze zachwycająca! Niechże pani najdroższa siada; właśnie tu jest wolna ławeczka. Jakże synek? a Stasia, ta urocza Stasia! Nigdy nie zapomnę jak wyglądała wtenczas w resursie! pamięta pani?

— Pamiętam... wybornie pamiętam, ale teraz...

— No, nic naturalniejszego, teraz żałoba.

— Zwinęłam też chwilowo dom, ale po zregulowaniu interesów, po skończeniu żałoby, będę musiała znowu otworzyć salony.

— Zamierza pani?

— Nie chciałabym, ale widzi pani, kto ma córkę dorosłą musi prowadzić koniecznie dom otwarty; pani najlepiej wiesz o tem.

— Istotnie... dwie już wydałam, a trzecia ma kilku starających się... chociaż ja na to nic nie li-

częs... jestem pod tym względem niewierny Tomasz.

— Jakto?

— Nie wierzę starającym się, nie wierzę konkurentom, nie wierzę narzeczonym. Dopiero jak ślub się odbędzie matka, może odetchnąć i powiedzieć, że wydała córkę zamąż. Od ołtarza się rozchodzą a ta dzisiejsza młodzież jest tak chciwa grosza, że uwierzyć trudno! Nieprawdaż droga pani, nieprawda?

— Hm... zapewne.

— Ale cóż ja robię?! Wszczynam rozmowę, która właśnie dla pani szczególniej może być przykrą.

— Dlaczego?

— Nie mogę sobie darować tej nieuwagi i nie pojmuję jak mogłam nawet popełnić taką nieostrożność. Pani wybaczy, ale zwróćmy rozmowę na inny przedmiot. Czy wie pani, że Alfonsowie kupili powóz?

— Nie słyszałam, ale...

— Ale to czyste szaleństwo, proszę pani, bo jakże można mając po same uszy długów, pozwalać sobie na takie zbytki. Założyłabym się, że to jej wymysł. To jej polityka, chce otumanić ludzi, żeby prędzej mogła wydać córki. Mają podobno widoki na pana Kazimie... Ah! doprawdy jakżem dziś roztargniona! popełniam same niedyskrecye, lepiej będzie chyba gdy pożegnam kochaną panią i odejdę...

— Dlaczego?

— Roztrzepanie moje przechodzi wszelkie granice.

— Słowa pani robią na mnie wrażenie szarad, logogryfów i rebusów, do odgadywania których nie miałam i nie mam najmniejszej zdolności. W czem pani widzi swoją niedyskrecyę i nieostrożność? bo ja domyśléć się nie mogę.

— Więc to wszystko nieprawda?! Nieprawda to co mówią, co od kilku tygodni po całem mieście kursuje... Och! jakże jestem szczęśliwa! a tak mi żal było serdecznie tej biednej Stasi. Taka dobra, taka miła panienka... Istna przylepeczka! Nie zapomnę nigdy jak zachwycająco wyglądała wtenczas w resursie.

Pani radzczyni zbladła, niezmordowana przyjaciółka zaś prawiła niemal jednym tchem.

— Jak dzieci kocham, spadł mi kamień z serca, bo wierz mi pani iżem to bardzo, bardzo głęboko odczuła? Jakie to jednak plotkarskie miasto ta Warszawa. Co gadali! co opowiadali to włosy na głowie wstawały! Mnie było to podwójnie przykro. Raz z powodu sympatyi jaką mam dla pani i dla Stasi, a powtóre że przed wyjazdem za granicę pan Kazimierz złożył nam wizytę, z czego znów powstała plotka, że stara się o rękę naszej Kloci... Myślałam sobie, co też państwo powiecie, gdy ta bajka dojdzie do waszych uszu, jakie będziecie mieli o mnie wyobrażenie! Na szczęście pokazało się, że plotkom wierzyć nie można.

Radzczyni zrozumiała dobrze jakie to były plotki i domyśliła się, że jest w nich tyle prawdy, że aż nadto wystarczy do ostatecznego zrujnowania jej zdrowia. Umiała jednak panować nad sobą i w razie potrzeby ukrywać wrażenia.

Przywołała na usta kwaśno słodki, lecz pełen uprzejmości uśmiech i rzekła:

— Więc posądzają pana Kazimierza, że się stara o najmłodszą córeczkę pani?

— No tak, tak... ale zapewniam panią, że to jest plotka szkaradna.

— Mówią, że nie ma dymu bez ognia.

— Przysłowia nie zawsze mieszczą w sobie mądrość.

— Ostatecznie — rzekła radzczyni — cóżby było w tem złego? Klocia jest zachwycająca panienka i każdemu może się podobać. Co do mnie nie miałabym nic przeciwko temu.

— Pani?

— Tak jest, ja.

— A Stasia?

— Sądzę, że już zapomniała o tym projekcie...

— Więc to zerwane naprawdę...

— Naturalnie... od dość dawna nawet.

— Niepodobieństwo!

— Zapewniam panią.

— Jakiż powód? na miłość Bozką, jakiż powód? Przecież o ile wiem Stasia była nim bardzo zajęta, a ze względów praktycznych, odrzuciwszy już kwestyę wzajemnych sympatyi, p. Kazimierz... to była partya, proszę pani.

— Jak dla kogo — rzekła radzczyni, siląc się na spokój.

Przyjaciółka spuściła oczy i laseczką od parasolika zaczęła kreślić kółka i figury na piasku... przez chwilę trwało milczenie.

Przerwała je pierwsza radzczyni.

— Moja droga pani — rzekła — jak powiedziałam stosunek nasz z panem Kazimierzem zerwany; jakie były do tego powody powiem pani kiedyindziej, przy sposobności szczegółowo. Nie przewidywałam żeby Stasia mogła być w tym związku szczęśliwa i zerwałam. Właściwie więc nie ma o czem mówić, lecz ciekawa jestem niezmiernie jak ludzie o tem mówią, bo powiada pani, że mówią. Już ten sam fakt — dodała z przekąsem — pochlebia mi bardzo.

— Co pani pochlebia?

— Sądziłam, widzi pani, że świat zupełnie już o mnie zapomniał, a dowiaduję się tymczasem, że o mnie mówią, przyzna pani, że bądź co bądź jest to dowód pamięci.

— Uprzedza się pani do ludzi. Któżby zapomniał o tak miłej, kochanej osobie?

— A jednak nikt do mnie nie zajrzy, nikt nie przypomni sobie że żyję.

— Teraz bo taki czas. Całe towarzystwo wyjechało, korzystają z lata, odpoczywają, leczą się...

— Zapewne, ale moja pani, powiedzże mi co to o nas mówią? W mojem biednem życiu tak mało rozrywek...

Przyjaciółka wzięła się do opowiadania niechętnie.

— Zna mnie kochana pani, że nie lubię powtarzać tego co słyszę, ale ponieważ pani sobie życzy, otóż powiadają, że państwo obiecali dać panu Kazimierzowi jakiś posag. Nic dziwnego, że młody człowiek myśli o takich rzeczach, gdyż biorąc pannę przyzwyczajoną do wykwintnego życia... do wygód, musi być przygotowany na znaczne stosunkowo wydatki. Ja sama powiedziałam przed chwilą, że dzisiejsza młodzież jest chciwa, ale widzi pani czasy są takie ciężkie, że wejrzawszy bliżej w tę kwestyę, doprawdy nie należy się nawet bardzo dziwić...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zbudzenie się wiosny.

Znowu już wiosna do życia się budzi:
Jasne jej oczy zaperlone rosą,
Tysiące blasków w swych zwierciadłach niosą,
Barwy dla kwiatów, a radość dla ludzi.

Ziemia, z lodowych rozkuta obręczy,
Otwiera piersi na pokarm przyrodzie:
Rybak z swem czółnem wita się na wodzie,
A nad nim w górze, pieśń skowronka dźwięczy.

Łąka się w świeże szaty przyodziewa:
I rolnik śpiewa i ptak w gaju śpiewa,
A złote słońce roślinność bogaci.

Jeźli kto smutnym jest i w takiej chwili,
Niech się sam z siebie na radość nie sili —
Lecz jej zaczerpnie z serca swych współbraci.

M. H. Truszkowski.

ODNALEZIONA.

POWIEŚĆ

Golo Raimunda.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

(Dalszy ciąg.)

Nie — odparła z uśmiechem — nigdy nie było o tem mowy. Jest to natura zamknięta w sobie i skryta, a wszelkie ludzkie ułomności powiększają się z wiekiem. Nie sądź też ciotki z tego czem się stała dla ciebie, lecz weź na uwagę jaką była dla drugich. Wszak nie mogliśmy wszyscy zastąpić jej zmarłego syna, którego odnalazła w tobie. Ja byłam jej solą w oku, widziała we mnie rywalkę, która czycha na jej stanowisko, a w moich dzieciach twoich rywali. Bóg wie dobrze, iż nie chcieliśmy twej krzywdy.

— Wiem, droga ciociu — odparł z czułością młody człowiek — wdzięczny też jestem szczerze, że mnie tutaj zawsze kochano gdy włóczyłem się po świecie, o ojczyznie zapominając nieraz. Spodziewałem się tego ze strony ciotki, pomimo że z mojej winy przestaliśmy do siebie pisywać, lecz wasze przywiązanie jest dla mnie serdeczną i bardzo drogą niespodzianką, która muszę przyznać, zwabiła mnie tutaj z drugiego końca świata.

— Nie wiem czy to się opłaci — żartowała piękna panna — szczególniej ze względu na moją osobę. Mama nazywa mnie bezmyślną i dziecinną, bracia przekorą, a ciotka Karolina no, to już sam się zapytaj!

Cudowną była w tem oskarżeniu, którego kokieterya uszła baczności młodzieńca.

— Jestem pewny, że się opłaci — rzekł patrząc w oczy dziewczyny. W twoim wieku, lepsza bezmyślność niż chłodna rachuba. Mam zwyczaj kierować się własnem przekonaniem i słuchać własnego sądu, rzucasz mi rękawiczkę, dobrze, podniosę ją aby potem zawrzeć korzystny pokój.

— Tymczasem, nim zacznie się wojna — wtrąciła Hortensya — musisz używać świętych praw gościa, bo przecież u nas zostaniesz, jak moi bracia, gdy są na urlopie.

Naiwna serdeczność młodej kuzynki, liczącej Erwina do najbliższych członków rodziny, mogła mu głowę zawrócić i odurzyć go przynajmniej chwilowo, a jednak pan von Mersdorf gościnnego zaproszenia nie przyjął. Oddalony przez czas tak długi, odzwyczaił się od rodzinnego życia i od osób tę rodzinę składających, więc też nie chciał krępować zarówno ich, jak siebie.

Odpowiedział żartując, iż tak zabrnął w dziwactwa kawalerskiego życia, że nie chciałby sprawiać ciotce kłopotu i obiecał jak najczęściej obie panie odwiedzać.

Potem mówiono o śmierci dziadka, o minionych latach i o stosunkach całej rodziny.

Pani von Mersdorf umiała zaznaczyć, przy najpierwszej sposobności, jak mądrze ograniczać się trzeba, chcąc się utrzymać na odpowiedniem stanowisku; westchnęła kilkakrotnie, wspomniawszy o kosztownej karyerze synów, słowem przedstawiła się znakomicie, łącząc w jednej osobie mądrość światowej, praktycznej kobiety itroskliwość matki, która dba o dzieci.

Erwin zaczął się żegnać, gdyż przyjąwszy zaproszenie na obiad, pragnął tymczasem odwiedzić panią radzczynię, którą cała młodsza generacya Mersdorfów ciotką nazywała.

Gdy ucichł w przedpokoju odgłos jego kroków, matka i córka spojrzały po sobie.

— No cóż? — zapytała matka a głos jej zdradzał wielką radość — co na to powiesz, Hortensyo?

Dziewczyna nie odpowiedziała zaraz na pytanie matki śledząc wzrokiem wysoką męzką postać, dopóki nie zniknęła na skręcie ulicy.

Wtedy zwróciła się do niecierpliwie czekającej matki.

— Co ja powiem? Powiem ci mamo, że jest to człowiek, z którym można pokazać się ludziom.

— Nie bądź dzieckiem, Hortensyo — odparła matka — nie lubię podobnych żartów. Pytałam cię najzupełniej seryo i pragnę usłyszeć rozsądną odpowiedź.

— Miałaś ją, mamo — rzekła piękna panna. — Takie jest moje wewnętrzne przekonanie. Nie zdarzyło mi się spotkać podobnego mężczyzny, gentleman w całem znaczeniu tego wyrazu. Młody, przystojny, dobrego rodu, a o ile wiem, z listu, jaki pisał do dziadka, posiada znaczny majątek, serce, czegóż więcej pragnąć?...

— A zatem, jest to pierwszy człowiek, który ci się podobał!

Pani von Mersdorf westchnęła, jak gdyby spadł jej z piersi wielki ciężar, Hortensya poszła za jej przykładem.

— Tak, tak, mateczko, wzdychajmy obie. Spotkałam nieraz ludzi, którzy mieli pewne przymioty, lecz żaden nie posiadał wszystkich razem: w Erwinie widzę wszystko, czego żądać mogę.

— Brak więc tylko miłości z jego strony.

Dziewczyna zaczęła się śmiać.

— Niczego więcej. Pozwól że się tem zajmę — rzekła z przekonaniem.

— Bądź rozsądną — przestrzegała matka — Erwin nie jest pospolitym człowiekiem jakich się zwykle spotyka.

— Okazałam się rozsądniejszą od ciebie — odrzekła Hortensya — gdyż idąc za twoją radą, byłabym dziś narzeczoną starego barona Szlieben.

— Moje dziecko, sądziłam, że Erwin nie przyjedzie, gdyż na moje zaproszenie wcale nie odpowiadał. A więc, naturalnie, powzięłam inny zamiar — tłomaczyła się matka.

— To nie racya! kto spieszy zawsze traci, lepiej się namyśléć dłużej, niż działać bez zastanowienia. Ja okazałam się przezorniejszą odwłócząc ostateczną decyzyę.

Matka ucałowała czoło mądrej jedynaczki i rzekła z tkliwością.

— Przyjmij tylko, od czasu do czasu pewną wskazówkę odemnie, gdyż znam potrosze jego charakter. Widzisz z wrażenia, jakie mój list wywołał iż dobrze go rozumiem, idzie więc tylko o to żeby kochana ciocia nie spłatała ci figla, a ona do wszystkiego jest zdolną...

Zamiast odpowiedzi, Hortensya poprowadziła matkę do zwierciadła, w którem odbiła się jej czarująca postać.

— Czy sądzisz, że mogę uledz w tej walce? — spytała ścicha.

— Nie łatwo, to pewne, lecz miej się na baczności!

Przedmiot tej rozmowy podążał tymczasem w stronę przedmieścia.

Zatrzymywał się niekiedy, rozglądał wkoło siebie, w przeciągu lat czternastu ulice przybrały odmienną postać, wzniesiono dużo kamienic, wspaniałych, niby pałace, a ze starych wyglądały obce nieznane mu twarze. Czas, którego wpływ jest tak silny, który wszystko zniszczy i przerabia, zmienił też i jego usposobienie, uczynił go podejrzliwym i chłodnym. Czemuż jednak znikło niedowierzanie z jakiem traktował krewnych, nieufność z jaką myślał o ich pojednawczem usposobieniu? Naiwna serdeczność kuzynki dokazała tego cudu. Piękny jej obraz odbity w zwierciadle co chwila stawał przed nim jak żywy, wydała mu się rozkosznem dzieckiem, któremu oprzéć się niepodobna.

Minąwszy długi szereg pięknych, ogródkami otoczonych domów, Erwin zatrzymał się przed jednym z nich i probował zawiązać rozmowę z małą dziewczynką, która bawiła się skacząc przez obręcz.

Zapytał, czy tutaj mieszka pani Jaeger, a dziecko widocznie bardzo nieśmiałe, skinęło w milczeniu jasną główką.

— Czy mieszkasz tutaj, panienko?—pytał młody człowiek — jeżeli tak, to może zechcesz mnie poprowadzić — dodał głaszcząc prześliczne loki dzieweczki. — Nie potrzebował też wcale przewodnika, lecz będąc wielkim przyjacielem dzieci, korzystał chętnie z każdej sposobności, aby się do nich zbliżyć.

Skinąwszy powtórnie głową, mała pobiegła naprzód i spiesznie otworzyła drzwi, któremi może wyszła przed chwilą, gdyż były bardzo lekko zamknięte. Szła tak prędko i z taką pewnością siebie iż Erwin nie pytał nawet, czy to jest lokal radzczyni. Był tam wprawdzie dzwonek, lecz młody człowiek pragnął wejść niespodzianie, wszak ona nie jest obcą osobą, to prawie matka w idealnem znaczeniu tego wyrazu.

Wsunął się więc za milczącą dziewczynką a ona zaraz drzwi napowrót zamknęła.

Dzień ten miał mu przynosić same niespodzianki i coraz nowe wrażenia. Spostrzegłszy zaraz, że wszedł do cudzego lokalu, przestraszony niemal swą śmiałością, chciał się wysunąć nieznacznie, lecz właścicielka milutkiego pokoiku, spostrzegła już jego obecność.

Nie była to stara opiekunka, przyjaciołka serdeczna, lecz młoda panna zajęta również kwiatami. Nie stroiła się przecież jak tamta jasnowłosa czarodziejka, lecz malowała bukiet, podług wspaniałego modelu, który stał przed nim w kryształowym wazonie.

Miękki dywan głuszył odgłos jego kroków, młoda osoba nie spojrzała też zaraz ku drzwiom, lecz cofając się Erwin trącił krzesełko, a wówczas podniosła głowę.

Nie był to uroczy wzrok, którym Hortensya do miejsca go przykuła, lecz poważne prawie nieładne rysy zwróciły się pytająco w stronę nieznajomego. Słodkie jednak spojrzenie głębokich ciemnych oczu, łagodziło nieregularność konturów i ozdabiało twarz barwy prawie oliwkowej.

Tyle było spokoju i dobroci w tem spojrzeniu, że Erwin zmieszał się i ledwie zdołał wymówić kilka wyrazów, któremi chciał się usprawiedliwić. Łagodny uśmiech rozjaśnił twarz kobiety.

— O, to nic nie znaczy — rzekła z żywością. — Jesteś pan zupełnie w porządku i moja Nelly także miała racyę, gdyż kochana sąsiadka była tutaj przed chwilą i niedawno odeszła.

— A więc mieszka w tym domu?

— O piętro wyżej... jeżeli pan pozwoli, zadzwonię na służącę i każę ją uprzedzić.

— Pani zbyt łaskawa, skorzystam jednak z tej grzeczności z ochotą, aby nie powtórzyć omyłki, którą już popełniłem, wolałbym jednak wejść bez meldowania.

— Wybacz pan — przerwała nieznajoma — że ośmielam się wyrazić własne zdanie. Staruszka ma już przeszło lat siedmdziesiąt, wraca do zdrowia po ciężkiej chorobie, obawiam się zatem, czy niespodzianka a zwłaszcza przyjemna, nie będzie niebezpieczną.

— Więc była chorą! — zawołał przerażony — zupełnie o tem nie wiedziałem, nikt mi nie mówił. W takim razie masz pani słuszność, trzeba postępować z wszelką ostrożnością, to też dziękuję za dobrą radę i proszę o pomoc w jej wykonaniu. Pozwoli pani, że się przedstawię, jestem Erwin von Mersdorf.

— Domyśliłam się zaraz, pańskie nazwisko dobrze mi jest znane — rzekła uprzejmie się kłaniając — pani radzczyni wspominała je często z prawdziwie macierzyńską czułością.

Wypowiedziana prostemi słowy wzmianka o czułości dawnej opiekunki, zrobiła na młodym człowieku bardzo przyjemne wrażenie.

Młoda dama pociągnęła za taśmę od dzwonka i po chwili, weszła do pokoju stara kobieta, bardzo przyzwoitej powierzchowności.

Wytłomaczyła jej w kilku wyrazach, jak należy uprzedzić radzczynię, że przyjechał jakiś pan, który ma wiadomości z Ameryki, a kto wie nawet, czy nie pan von Mersdorf we własnej osobie.

Erwin podziękował raz jeszcze, ukłonił się i poszedł za służącą.

Drugi obraz, który ujrzał dzisiaj nie podziałał tak silnie na wyobraźnię, nie opanował zmysłów i ducha, jak tamten, w którym urocza kuzynka przedstawiła mu się w całej pełni swych wdzięków. Surowa, ciemna twarz, której całą ozdobę stanowią oczy, nie zachwyciłaby nikogo. Myśli Erwina były zajęte staruszką, która go oczekuje

a w parę chwil potem, schylił się z czułością, całując pomarszczoną dłoń dawnej opiekunki.

Powitanie było o wiele cichsze i spokojniejsze, niźli w domu ciotki, staruszka spoglądała prawie onieśmielona, ten brodaty mężczyzna z dumnem spojrzeniem i opaloną twarzą, przypominał jej bardzo niewyraźnie młodzieńcze rysy buntownika, był jej prawie nieznany i nie wiedziała jakim tonem do niego przemawiać. Postarzała się, tyle już lat minęło od tej pory, może się odmienił na obczyźnie, zdala od swoich...

Kochała go całem sercem, dumna jak dawniej ze swego wychowańca, lecz brak jej było tej pewności siebie, którą pani von Mersdorf posiadała w najwyższym stopniu, czułych serdecznie brzmiących wyrazów, których nigdy jej nie zbywało.

Spostrzegł ten zaraz Erwin, że pomimo uradowania, staruszka jest nie taka jaka była dawniej i przyszedł jej w pomoc szczerem wypowiedzeniem własnych przekonań. Skreślił obraz przeszłości, długich lat, które wiodły za sobą rozczarowanie i gorycz, lecz wpłynęły korzystnie na jego umysł.

— Tak, droga cieciu — mówił — jestem teraz innym człowiekiem, idealne poglądy i gorączkowe pragnienia przybrały realniejszy kierunek, a przedewszystkiem nauczyłem się panować nad sobą.

Potem wspomniał o krewnych, niepytając o zdanie wypowiedział jasno swoje o nich poglądy i dodał, że nauczył się sądzić zdaleka trochę inaczej niż poprzednio, zblizka, gdyż wzrok potrzebuje widać szerokich widnokręgów.

Unosił się nad szlachetnością ciotki, jej czułością i urodą Hortensyi.

Ciotka słuchała w milczeniu. Nie wyraziła też wcale swojego zdania o świecie, nie chcąc robić przykrości młodzieńcowi, zbyt szczęśliwa, że go ogląda nareszcie.

Wypytywać też musiał o wszystko, gdyż staruszka nie była jakoś skłonną do zwierzeń, w ogóle jednak, nie oskarżała nikogo. Ściśle rzeczy biorąc, miała więcej racyi chwalić niż ganić ludzi, zajmuje wygodne mieszkanko ładnie umeblowane, nie troszczy się o przyszłość, spokojna i szczęśliwa, a to wszystko dzięki Erwinowi.

Tak upłynęła godzina, którą mógł rozporządzić do obiadu, Erwin pożegnał staruszkę, obiecując bywać jak najczęściej.

Opowiadając o swej chorobie, pani Jaegerowa, wspomniała z wdzięcznością młodą sąsiadkę, która miała o niej staranie, lecz Erwin nie zapytał nawet o nazwisko poczciwej istoty.

Gdy zszedłszy ze schodów znalazł się w głębokim i prawie ciemnym korytarzu, ujrzał nieznajomę w ogródku przed domem.

Miała na sobie okrycie i kapelusz, a dziecię które było przyczyną jego pomyłki uczepiło się ramienia młodej panny, niechcąc jej puścić. Śmiały się przytem obie.

— Puść mnie już Nelly — mówiła — już trzecia, mogę się spóźnić.

— To i cóż z tego? nauczycielki nie siedzą w kozie, wtrąciła dziewczynka. One mogą robić co im się podoba.

— Niechże Bóg broni! nauczycielki muszą dawać dobry przykład.

— Czy wolno mi dzisiaj przyjść do pani? — zapytało dziecię z przymileniem.

— I owszem, jeżeli będziesz grzeczna.

— Opowiesz mi bajkę o brzydkim niedźwiedziu zamienionym później w ślicznego królewicza?

— Dobrze, opowiem, zasłonimy rolety, Sabina zapali dużą, zieloną lampę, ty siądziesz u mnie na kolanach, a ja opowiadać będę o niedźwiedziach i królewnie.

— A maszynka śpiewać będzie o ciastkach, które piecze Sabina?

— O, ty figlarko!... Ale puść mnie nareszcie, bo ciocia Weronika naprawdę się pogniewa.

Weronika! śliczne imię! szepnął Erwin, gdy ucałowawszy dziewczynkę, młoda malarka oddaliła się spiesznie. Nie dojrzała go widać w ciemnym korytarzu, a teraz niepostrzeżony za nią podążył myśląc:

— Naszkicowała prawie bezwiednie miły obraz wieczornej godziny; jest nauczycielką jak mówiło dziecko i sama mieszka, łatwo się domyśléć. *Ja, moja służąca, moje mieszkanie*, co za samotność i samodzielność zarazem...

Szła prędko i lekko, ruchy miała wdzięczne, wyprzedziła też znacznie swego prześladowcę. Zaledwie doszedł do rogu ulicy, zniknęła gdzieś w bramie.

Myśli Erwina zmieniły także kierunek. Tam, dalej nieco, szemrze wodotrysk i wznosi się dom ciotki, a na balkonie w pośród granatów i oleandrów, czeka nań piękna dziewicza postać, kłania się uśmiecha uroczo...

Przyspieszył kroku, jaka ona prześliczna!... Gdy był już blizko, tuż prawie pod domem, wychyliła się za balustradę ganku i umyślnie czy przypadkowo, róża uwolniona z jej włosów, padła u stóp młodzieńca.

Schylił się i podniósł kwiat z ziemi.

— Hortensyo! — zawołał, aż matka usłyszała go z pokoju.

— Czy to był Erwin? — spytała pani von Mersdorf.

— Tak — szepnęła piękna dziewczyna, zmierzając powoli ku drzwiom.

— Głos jego brzmiał tak dziwnie... zupełnie inaczej, niż dziś rano — rzekła matka z pewnym niepokojem.

Tryumfujący uśmiech jaśniał na twarzy młodej panny.

— Brzmiał zupełnie inaczej — rzekła ścicha — bo to był głos miłości!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Lena, komedya w 5 aktach, napisana przez W. Karczewskiego.

Sztuka ta, która komedyą właściwie nie jest, zaszczytnie odznaczona na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego, została przedstawioną w teatrze Belle-vue, przez towarzystwo pana Puchniewskiego z powodzeniem... bardzo słabem.

Nie utwór jednak temu był winien, ale siły artystyczne jakiemi towarzystwo rozporządza, które mało z salonowem życiem obeznane nie mogło wiernie zobrazować tego czego nie zna. Źle się więc stało że Autor zgodził się na to, ale do teatrów miejscowych tak trudno dostać się z utworem choćby najlepszym czy oryginalnym czy tłomaczonym, że bez protekcyi i to silnej wszelkie starania żadnego nie przynoszą pożytku.

Lenę więc na scenę teatralną wprowadził p. Puchniewski, za co mu należy uznanie tylko nie od Autora.

Jest to utwór mający wiele zalet z pobłyskami wiele obiecującego talentu, z celem poczciwym i nierzadko ozdobiony natchnieniem prawdziwie poetycznem. Treść tylko a raczej przeprowadzenie jej grzeszy często nieprawdopodobieństwem. Rozpatrzmy się, w niej bliżej.

Otóż jest w niej hrabia Gustaw, piękny salonowiec ale z pustą kieszenią, który przez bogaty ożenek pragnie zrobić karyerę i wydobyć się z ruiny majątkowej. Że tacy hrabiowie i niehrabiowie znajdują się wszędzie, nikt temu nie przeczy.

Są dalej rodzice, dorobkiewicze, pragnący przez odpowiednie wydanie zamąż córki wejść w świat arystokratyczny. I takich głupców ze świecą zbyt zabiegliwie szukać nie trzeba.

Jest wreszcie Lena córka takich rodziców, młodziutka kobieta, niewinna jak pierwsze tchnienie wiosny, jak pierwszy kwiatek barwiący murawę, która kocha krewniaka Janka nic niewiedząc o swej miłości a wychodzi za hrabiego Gustawa aby spełnić wolę rodziców. I córki tak posłuszne zdarzają się, świat zowie je spekulantkami lub... gąskami.

W sztuce p. Karczewskiego Lena jest gąską, niczego nieświadoma surowe w niej pojęcie obowiązków żony góruje nad wszystkiem i nie przypuszcza nawet aby mogło być inaczej. Piękne to bardzo, ale hrabia Gustaw myli się w swych posagowych rachubach, wiano Leny nie było tak bogate jak przypuszczał, brnie więc w interesach i szybko podąża do ostatniej ruiny.

Ratować się jednak musi, obmyśla różne środki, odrzuca je, przebiera, koncypuje, wreszcie powiada sobie: małżeństwo zawiodło mnie niechże żona z toni ostatecznej ratuje. Przez nią ginę, ona mnie dźwignąć powinna.

Zbliża się więc do księcia starego magnata i zalotnika, smaczną zwierzynkę umiejącego zawsze wyszperać i wywąchać.

Wiedząc że Lena mu się bardzo podoba i oddawna ostrzy na nią zęby... świeżo wprawione, przyrzeka mu względy jej bezsporne za ratunek w ostatecznej ruinie.

W ułatwionem sam na sam z Leną, siwy zalotnik przypuszcza szturm do jej serca, ale że z pewnością zapewnionego zwycięztwa, robi to niezręcznie, zbyt natarczywie, Lena z podziwem ale i ze wzgardą odrzuca wstrętne zapały starego łotra, karci go, oburza się, wreszcie grozi skargą...

— Ah! pani zbyt naiwna — odpowiada stary motyl — czyż sądzisz żem tak nieostrożny abym się narażał na niebezpieczeństwo, bez zabezpieczenia sobie odwrotu? Spotkanie nasze obecne, to rzecz ułożono, względy jej dla mnie zapewnione a wyrozumienie męża opłacone ratunkiem od zupełnego majątkowego upadku.

Lena usłyszawszy to traci zmysły, otrzeźwiona wyrzuca mężowi nikczemność, księciu niegodziwość i oświadcza stanowczo, że za narzędzie tak przebrzydłej spekulacyi użyć się nigdy nie da.

Mąż jednak hrabia Gustaw nie uważa się za pobitego: podstępem sprowadza do żony Janka, owego kochanka sielankowego jej ulubieńca i potem bez wahania oskarża ją o przeniewierstwo. Wówczas to Lena poraz pierwszy dopiero poznaje, że go istotnie kocha, że to co uważała jedynie za przyjaźń jest najczystszą miłością opromienioną urokiem poetycznego zachwytu. Uczucia tego nietając, bo takowe w jej przekonaniu nie jest zdro-

żnem, a z mężem żyć nie mogąc, porzuca go i wyjeżdża do rodziców.

Hrabia jednak zapobiegając skandalowi, przed ucieczką żony wyseła do rodziców jej przyjaciela swego niejakiego Kłońskiego, człowieka gotowego do największej podłości, który nieporozumienie małżonków przedstawia w tak fałszywem świetle, że ci Lenę przyjmują z największemi wymówkami i prawie z domu wyganiają.

Biedaczka opuszczona, zniesławiona, bez dachu i grosza, kochająca i kochana, rozseparowana z mężem a przeprowadzająca proces rozwodowy, powierza cześć swoją godności Janka i jawną już jego zostaje kochanką. W tym czasie Kłoński poróżniwszy się z hrabią przyznaje się do spotwarzenia Leny, rodzice więc godzą się z nią, żałując swej porywczości. Wszystko zatem jest na dobrej drodze i zdaje się podążać do jak najszczęśliwszego rozwiązania, gdy nagle ni ztąd ni zowąd, hrabia Gustaw spotkawszy Janka w klubie, obrzuca go obelgą i wyzwawszy na pojedynek, zabija a Lena waryuje.

Że ludzie tak nikczemni jak hrabia Gustaw znajdują się, to rzecz pewna, ale nie między naszemi panami, którzy wprawdzie po części upadli w znaczeniu moralnem, ale nie tak nizko jak mąż bohaterki. Może we Francyi lub w innej stronie świata, pomiędzy arystokracyą znajdą się podobne szumowiny, u nas są w niej zera dość liczne ale tak podłych nie ma dotąd.

Naiwność Leny co do uczuć jej dla Janka, także przesadzona. Miłość prawdziwa nie potrzebuje zbyt długich i obszernych wywodów i rozmyślań aby była poznaną.

Łatwowierność także rodziców Leny, w przyjęcie potwarzy na nią rzuconej za prawdę, dziwna i niepojęta.

Najnieprawdopodobniejszym jednak jest pojedynek hr. Gustawa z Jankiem. Człowiek co żeni się jedynie dla posagu, co zagrożony ruiną, wystawia na spekulacyą własną żonę, a więc podły i do szpiku w kościach nikczemny, awantur grożących pojedynkiem unikać będzie starannie a nie narażać się na nie prawie rozmyślnie.

Gdyby nie te niestosowności i niepotrzebne rozwałkowanie komedyi na pięć aktów, a przez to wprowadzenia za często zbyt długich a więc i nudnych monologów, utwór ten zyskałby wiele i na scenie naszej w lepszej naturalnie obsadzie przedstawiony, miałby z pewnością powodzenie.

J. K.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Lipca 1887 roku.

Mimo odwiecznej niechęci pomiędzy Anglią a Francyą, mimo ostrych śpilek i jadowitych żądeł, jakiemi godzą w siebie dwa narody, mimo śmieszności jakie jeden w drugim dopatruje i wyszydza, oba nie mogą żyć bez siebie, odwiedzają się bezustanku, przejmują swoje mody, naśladują się wzajem. Jak się objawia to naśladownictwo za morzem, pomiędzy Anglikami, tego nie możemy powiedzieć, ale u Francuzów spotykamy się na każdym kroku z anglomanią, tak w potocznej mowie, jak w przyjętych zwyczajach i odzieży.

Dziwimy się doprawdy, że między dowcipnymi humorystami francuzkimi, nie znalazł się żaden komedyopisarz, któryby bronią śmieszności schłostał tę anglomanią, jak czynili u nas z francuzczyzną: Niemcewicz w *Powrocie posła*, Fredro w *Cudzoziemczyznie*, Korzeniowski w *Wąsach i peruce*. Ale to śmieszne strzępienie mowy angielskiemi wyrazami, tak się stało powszechnem w Paryżu, że przechodzi pomimo ucha. Nie rażą dziś nikogo owe *sporty* i *sportmany*, *groomy* i *żokeje*, *plumkeki* i *rostbeefy*, *tickety*, *plaidy* i *watterproofy*, że pominiemy setki innych wyrazów powszechnie przyjętych. Puryści językowi sarkają, ale skargi ich, to głos wołającego na puszczy.

W ubraniu kobiet rozgościła się też w dziwny sposób anglomania. Z za morza przyszły tu męzkie kapelusiki z wysoką główką i prostem denkiem, tak odrębne od francuzkiego smaku, a tak ogólnie dziś noszone; z za morza też rodem owe trykotowe Jerseje, oblepione wkoło figury, owe tak zwane *komplety* złożone z serżowej spódniczki i paletocika, na takiejże samej kamizelce, z pod której wygląda angielski kołnierzyk przewiązany czarną krawatką.

Firmy słynnego Wortha i słynniejszego jeszcze Aleksandra, ustępują dziś przed firmą angielskiego krawca Redferna. Zajmuje on trzystu robotników i robotnic, z pomiędzy tych sto angielek i anglików. Mieliśmy sposobność widzieć cały zbiór kostyumów i sukien, wykonanych u Redferna dla zamożnej rodziny, wybierającej się na kąpiele morskie do Trouville. Jedne z tych kostyumów nosiły wyraźną cechę angielską, inne zastosowane były cokolwiek do smaku francuzkiego. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Kostyum na rano marynarski. Spódniczka z serży ciemno-szafirowej (bleu-marin), cała układana w wielkie, zaprasowane plisy. Pomiędzy brytami pozostawiony mały odstęp, wpuszczone tu fałdy z serży białej. Stanik krótki szafirowy, otwarty na plastronie białym. Od szyi spada wielki kołnierz marynarski, w rogach wyhaftowane kotwice. Krawat z pąsowego fularu *surah*, wązki pod kołnierzem, szeroki w końcach, spada lekko przewiązany na plastron.

Drugi kostyum także na ranną przechadzkę, z grubej alpagi w kolorze niewarowym (*beige*). Spódnica w fałdy wpuszczane: na to idzie draperya mocno nafałdowana z lewego boku; ztąd odwrócona tworzy na przodzie długi fartuch, z tyłu puff rozniesisty. Pas maurytański, przechodzi od lewego boku przez fartuch, w tyle łączy się z puffem. Stanik tworzy obcisłą żakietkę; z pod otwartych przodów wybiega namarszczona bluzka z *surah*, w kolorze oliwkowym, ujęta w szeroki pas z alpagi i w takiż kołnierz stojący.

Trzeci kostyum. Spódnica fałdowana z serży białej w odcieniu śmietankowym, żakiecik biały, szamerowany takąż pletnią; pod spód szmizetka z fularu śmietankowego, obciśnięta szerokim pasem szafirowym, ze spadającemi na bok końcami.

Do tego kostyumu przygotowany kapelusik słomkowy okrągły, podbity szafirowym aksamitem, opasany wieńcem bławatków.

Czwarty strojniejszy kostyum na popołudniową przechadzkę, z lekkiej tkaniny wełnianej na tle śmietankowem, w pasy błękitne i orzechowe (maron). Spódnica ułożona cała w fałdy. Na wierzchu przechodzi draperya długa z przodu, rozniesista po bokach i w tyle. Stanik w formie bluzki, ujęty w szeroki pas orzechowy, lekko przewiązany z boku. Kołnierz wielki marynarski z materyi *faille* w orzechowym kolorze. Rękawy szerokie, marszczone od ramienia; u ręki szeroki mankiet orzechowy jedwabny, spięty na dziesięć małych guzików.

Trudno nam było pominąć kostyumy Redferna, który dziś tak wielką pozyskał wziętość, wyznajemy jednak, że prawdziwie paryzki smak, cechujący suknie i kostyumy panny Elizy Mery (Caumartin 48), nierównie zdaniem naszem estetyczniejszy. Widzieliśmy w jej magazynie kilka sukien i kostyumów letnich, przeznaczonych do Vichy: przytaczamy ich opis.

Kostyum z fularu heliotropowego, w biały, dość duży, ale delikatnie zarysowany deseń, składa się ze spódniczki nafałdowanej i z polki ułożonej bardzo fantastycznie. Przody przymarszczone do ramion, przechodzą przez stan do samej ziemi, w pasie tworzą kilka skupionych i wpuszczonych w głąb fałdów. Te przody odwrócone od dołu, na obie strony, tworzą długi i szeroki fartuch, łączący się z rozniesistym puffem. Przód stanika otwarty, na białej kamizeleczce z fularu *surah*. Rękawy rozszerzone w górze, spięte u ręki na rzęd drobnych szmuklerskich guzików.

Druga suknia strojniejsza, na koncert lub na wieczór, składa się z koronki czarnej w lekki rzut i z tak zwanego pekinu koronkowego (*pekin dentelle*). Są to wstawki koronkowe, szerokie na dwa cale, przeszywane wstążką atłasową tej samej szerokości. Suknia ta cała podbita materyą *surah*, w kolorze pąsowym (*coquelicot*). Z przodu od szyi do samej ziemi, spada bryt koronkowy w rzucik, mocno namarszczony, u dołu objęty wstążką atłasową i nafałdowany o ćwierć łokcia nad ziemią. Po bokach idą płaskie bryty z koronki pekinowej w pasy. Przez plecy spada znów bryt koronkowy w rzucik, przemarszczony w stanie, sięgający do ziemi; po bokach tego brytu idzie koronka pekinowa. Rękawy pekinowe, namarszczone, u mankietu kokarda z czarnej wstążki atłasowej. Przedni bryt przemarszczony w stanie, można według woli spinać na wielką kokardę albo na agrafę dżetową.

Trzecia suknia z materyi *faille* w kolorze popielatym. Bryty wcale nie zszyte, pomiędzy niemi przechodzą fałdy z materyi białej w odcieniu śmietankowym, na tę spódniczkę przechodzi od lewego boku draperya, ułożona bardzo sztucznie; tworzy z przodu długi fartuszek, z prawego boku krótszy feston, w tyle puff bardzo rzęsisty. Stanik gładki otwarty, na białej kamizelce na otworze przodów naszyty szlaczek na dwa cale zahaftowany stalą i jedwabiem. Drugi takiż sam, przechodzi od ramion do połowy stanika tworząc jakoby kierunek kołnierza prosty, zahaftowany odpowiednio, takiż mankiet u rękawów, ozdobiony kokardą.

Fular w ogólności bardzo modny na suknie letnie. Do morza i do wód lub na wieś, przyspasabiają wiele pąsowych sukien fularowych w biały groszek lub w fantastyczne paski; widzimy też bluzki pąsowe obciśnięte paskiem, wypuszczone na ćwierć łokcia poniżej stanu, noszą je do spódniczki białej lub popielatej. Na przechadzkach po lasku bulońskim i polach elizejskich, panują nad innemi suknie fularowe, w kolorach szafirowym, heliotropowym, wydrowym, popielatym, w biały lub kolorowy groszek.

Na zakończenie przytaczamy kilka całkowitych ubiorów, które zwróciły powszechną uwagę na wielkich wyścigach konnych w lasku Bulońskim.

Pierwsze ubranie. Suknia złożona cała z wstawek koronkowych i z innych wstawek haftowanych na muszlinie ogarnirowane koronką. Szeroka szarfa w kolorze paliowym, kapelusik ze słomki bru-

kselskiej, otoczony wieńcem niezapominajek; parasolik biały atłasowy, powleczony koronką.

Druga suknia fularowa, blado-popielata, na spódniczce tiulowej haftowanej. Stanik cały układany w drobne fałdki; rękawki też przyfałdowane od ramienia, przez łokieć bufiaste, niżej ujęte w pasek, ogarnirowane koronką. Kapelusz okrągły ze słomki czarnej, z bukietem róż herbacianych; parasolik powleczony koronką czarną Chantilly.

Trzecia suknia biała fularowa w wielki groszek błękitny w mocnym odcieniu, plastron i rękawy koronkowe, na błękitnym fularze *surah*. Kapotka cała pokryta bławatkami.

Czwarta suknia z materyi *faille*, mieniona, różowa z popielatem. Stanik przyfałdowany na bladoróżowej kamizelce. Kapotka koronkowa biała na krepie różowej, ubrana agrafką z róż; parasolik różowy jedwabny.

Piąta suknia fularowa blado-lilla (*mauve*). Kapotka cała pokryta bzem perskim bez liści.

S. D.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W zeszłym tygodniu Warszawa obchodziła wraz z całą Słowiańszczyzną, *Święto słońca*, zwane na wsiach *Sobótką* a w starym naszym grodzie *Wiankami*, uroczystością dziewicom wyłącznie poświęconą.

Jak Wisła szeroka i długa płynęły też te kwiatowe symbole przyszłych dziewiczych losów, goniły je spojrzenia tęschliwe i wypatrywały z westchnieniem, co się z niemi stanie? Czy popłyną w świat gnane nurtem wody jakby prądem czasu wszystko niszczącego, czy schwycone zręcznością wioślarzy staną się własnością... ukochanego.

Jak wróżby wypadły, nikt nieodgadnie, nawet najczujniejszy reporter, domyślający się wszystkiego czego nawet nie widział i nie słyszał. Wiadomo tylko, że jazda pomiędzy Pragą i Warszawą w dniu tym wieczorem została przerwaną, że most żelazny roił się tysiącami głów zbitych w jedną masę dając dowody wielkiej siły, że wytrzymał ciężar i nie runął w otchłań wodną, rozbity na drobne kawałki. Brzegi także Wisły, Zjazd cały oblepiony był ciekawą rzeszą a miejsca urządzone przez Towarzystwo Wioślarzy prawie wszystkie zajęte. A było się czemu przypatrzéć.

Przed oczami widzów przesuwały się obrazy jakby senne marzenia: tu stary wieszcz litewski zawodził tęskną pieśń, pyszniąc się zdobiącym go wiankiem dziewic: tam Flisacy w pląsach tanecznych przy ognisku lub dziewczęta wiejskie Sobótkę palące, a chór Lutni na osobnej estradzie wyśpiewywał pieśni, których wykonaniu z pewnością zazdrościły Syreny, wabiące w zdradne swe sieci nieostrożnych flisaków. Spalenie wreszcie okrętu, ognie sztuczne, snopy rac, rakiet, dymu, iskier, huku i huku, zakończyły całą uroczystość, na której najlepiej wyszło *Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi w Warszawie*, zgarnąwszy sporo grosza do swej dość pustej skarbony.

W dzień jubileuszu królowej Wiktoryi, już o godzinie 7 z rana w Londynie ze wszystkich stron płynęły fale ludu, porwanego entuzyazmem dynastycznym i poczuciem chwały narodowej.

Dekoracya ulic pociągała nietyle smakiem jak bogactwem.

O godzinie jedenastej zaczął się zajazd karet pod portyk Westminsteru, ciężarny tradycyą wieków wielkości i chwały.

Naprzód zajeżdżają książęta pozaeuropejscy, goście egzotyczni, w ich rzędzie królowa Hawai, cała błyszcząca od złota, cała w złocie utopiona, iście słoneczna... Okok niej fantastyczni książęta Indyi.

Za nimi dążą członkowie spokrewnionych z jubilatką pomniejszych dworów niemieckich.

W piętnastu złocistych karocach dworskich, jadą następnie ze świtami: królowie Belgii, Saksonii, Danii i Grecyi, następcy tronu austryackiego, portugalskiego i greckiego.

Następnie z bram pałacu buckinghamskiego na czele orszaku jadą heroldowie, gwardziści, adjutanci, masztalerze i sztab-jeneralny armii. I znowu karety najwyższych dygnitarzy państwa i dam pałacowych.

Wreszcie ukazuje się kareta królowej Wiktoryi, otoczona orszakiem jej synów, zięciów i wnuków na koniach, ubranych we wspaniałe rzędy. Tu jadą ks. Walii, ks. Cambridge, ks. Edynburski, ks. Connaught, niemiecki następca tronu, markiz Lorne, W. ks. Sergiusz rossyjski, książęta Ludwik, Henryk Battenberski i wielu innych.

Karetę królowej ciągnęło ośm zwinnych *ponnies* barwy kremowej, którym najpierwsi fryzyerzy stolicy splatali krótkie ogony dla nadania im estetycznej architektoniki. Uprząż tych koni kąpała się w złocie.

W karecie królowej siedziała obok niej księżna Walii, *vis-a-vis* niemiecka następczyni tronu. Jubilatka ustroiła głowę w zgrabny kołpaczek z najdelikatniejszych *points d'Alençon* w kształcie korony; miała też na sobie order Podwiązki i kilka jaskrawych orderów rodzinnych.

U bram Westminsteru stanął orszak królowej. Olbrzymie wrażenie sprawiało wnijście królewskiej procesyi do rozległej nawy opactwa.

Wysoko w górze, jakby na okręcie powietrznym umieszczono chór 300 biało ubranych śpiewaków. Po prawej stronie od estrady królewskiej stanął lord kanclerz w aksamitach i bisiorach, a obok niego sześciuset lordów i *ladies* w najkosztowniejszych strojach, jakie wymarzyć można, po lewej umieściła się izba gmin. Dalej grupowali się ambasadorowie z małżonkami, tudzież książęta Europy i Azyi.

U bramy opactwa przyjął królowę wśród fanfar i dźwięków hymnu *God save the queen* arcybiskup Canterbury.

Ozwał się potem marsz tryumfalny Haendla, królowa ubrana w małą koronę, wedle jego rytmu stąpała ku wnętrzu świątyni.

Arcybiskup wygłosił błogosławieństwo, poczem odśpiewał *Te Deum*, a podczas modłów za zdrowie i życie jubilatki, korowód książąt i księżniczek defilował przed jej tronem.

Najwięcej zajęcia budzącą chwilą uroczystości, była uczta dla dzieci w Hyde-parku. Przeszło 30 tysięcy dzieci szkół publicznych, co w Londynie odznacza dzieci warstw najuboższych, bawiło się w parku, który zapewne po raz pierwszy w życiu oglądali. Wzniesiono tam niemal całe miasto namiotów, a królowa przejeżdżała pomiędzy gromadą dzieci, wśród ogłuszających okrzyków radości.

Podobne okrzyki rzesz zgromadzonych, towarzyszyły na całej drodze jadącej jubilatki. W całym jednak tym chórze radości i upojenia, brakowało tylko... Irlandczyków.

Biedacy!

O podróży arcyksięcia Rudolfa i Stefanii do Krakowa, gazety podają bardzo szczegółowe wiadomości. W Oświecimiu oprócz dygnitarzy cywilnych, wojskowych i duchownych, zebrały się tłumy na powitanie a między nimi różne deputacye, bractwa z chorągwiami, banderye konne i 20 par dzieci włościańskich ubranych po krakowsku. Gdy o godzinie szóstej nadszedł pociąg, wójt z Brzezinki ofiarował chleb i sól a dzieci arcyksiężnie kwiaty.

Na krakowskim dworcu kolei, ustrojonym we flagi, insygnia i zieleń, wśród niezliczonych tysięcy oczekujących, stanął pociąg witany rozgłośnemi okrzykami.

Tu oczekiwały deputacye rad powiatowych, miejskich i gmin wiejskich, lwowska rada miejska, wydział krajowy, posłowie sejmowi i do rady państwa mając na czele świetnego orszaku, u wejścia doktora Franciszka Smolkę.

Na peronie ustawiło się grono pań: namiestnikowa Zaleska, marszałkowa Tarnowska, Alfredowa hr. Potocka, księżna Zuzanna Czartoryska, Windischrätz, Sapieżyna Leonowa i Adamowa i t. d. Z chwilą przybycia pociągu, muzyka odegrała hymn ludowy i odezwało się 24 salw armatnich, donoszących miastu, że pociąg wjeżdża na dworzec. Wśród salw i okrzyków wysiadła dostojna para, powitana przez marszałka Jana hr. Tarnowskiego, po niemiecku, rusińsku i po polsku.

Dworskiemi powozami ruszył orszak. Prezydent Szlachtowski, w stroju historycznym z dzielnym Krakusem na koźle, jechał najpierwszy, poprzedzając orszak, dalej namiestnik i marszałek kraju. Jechano ustrojonemi ulicami. Galerye przystrojono gustownie wieńcami i girlandami, chorągiewkami i herbami krajów koronnych, udekorowane były kilimkami krajowego wyrobu z Galicyi wschodniej.

Szkoła żeńska utworzyła szpaler przed bramą wjazdową, panienki w bieli obrzuciły kwiatami drogę i powóz arcyksięztwa. Trybuny wzdłuż ulicy Basztowej przepełnione były ciekawymi.

Cały orszak potem ruszył ku pałacowi pod Baranami; wszystkie okna, ganki, taras w Sukiennicach, napełnione były publicznością. Szpaler tworzyła straż obywatelska. Wjazd był świetny. Przed pałacem stanęły kołem różne deputacye w strojach historycznych, mundurach i w strojach ludowych.

Pierwszy zaś wyjazd arcyksiążęcej pary z pałacu odbył się do katedry na Wawelu. Tam, u wrot kościoła oczekiwał biskup krakowski w pontyfikalnych szatach, w orszaku duchowieństwa.

Niemieckim przedsiebiorcom różnych widowisk i ciekawości zaczyna się u nas jakoś niepowodzić. Niedawno kobieta z trzema głowami, naturalnie sztucznemi, nazwanemi na afiszu złudzeniem optycznem, nie znalazłszy amatorów do oglądania smyrgnęła do Vaterlandu, że aż się za nią zakurzyło.

Rola zaraz po ogłoszeniu ukazu o cudzoziemcach, podała wiadomość, iż z dóbr ordynacyi hr. Zamoy-

skich, 80 oficyalistów Niemców zostało wydalonych. Powtórzona ta wiadomość w Kuryerze Warszawskim, wywołała następujące objaśnienie, które tu w całości podajemy.

„Jako należący do składu administracyi ordynacyi, tak prasę jak i ogół czytelników kategorycznie zapewnić mogę: że ani jednego niemca w całym składzie administracyi ordynacyi hr. Zamojskich nie ma.

Już od lat kilku pojawiają się w różnych pismach warszawskich wieści o ordynacyi, bez sprawdzenia źródła publikowane, a w prawdziwości i tendencyi swej zupełnie zgodne z teraźniejszą nowiną. Na operaty przecież takie trudno odpowiadać, z powodów łatwych do pojęcia dla rozsiewaczy podobnych wieści.

Prawda, iż na fakta potrzebne nie natknie się warszawski korespondent z prowincyi przy lada okazyi, gdyż potrzeba ich szukać nietylko po za rogatkami Warszawy, ale het gdzieś tam jeszcze o jakie 40 mil od owych rogatek, w miejscowości spowitej takiemi warunkami ogólnego bytu, a nawet życia codziennego, przez których sploty nie przebije się łatwo nawet bystre oko warszawskiego reportera.

Jednakże wieści drukowane rozchodzą się jeszcze dalej:

To też dziś nareszcie, w imieniu członków administracyi ordynacyi, ośmielam się stanowczo wezwać redakcyę „Roli” o wskazanie źródła, z jakiego poczerpnęła swoją wiadomość o niemcach ordynackich, sam zaś gotów jestem na jej żądanie złożyć listę imienną wszystkich członków administracyi ordynacyi hr. Zamojskich, razem z dowodami legitymacyjnemi, nawet w urzędach właściwych poświadczonemi.

Józef Rzętkowski.”

W bawaryi ogródkowej, na boku siedzi jakiś młodzian i patrzy na kufelek prawie zupełnie pusty.

W pobliżu siedzi panna Aniela i patrzy w młodego desperata jak w tęczę a na pannę Anielę rzuca spojrzenie jakiś wyjadacz ogródkowy i zbliżywszy się do niej pyta:

— Panno Anielo, co panna tak wciąż patrzy na tego młodzika? Czy panna w nim zadurzona czy co?

— A tak, bo najadł i napił na pół rubla a ja durzyłam się, że mi zapłaci, a teraz on się durzy, bo chce dać nura i zdaje mu się, że tego nie miarkuję. Ale nie tędy go wiedli, dam ja sobie z nim radę.

* * *

Panika w kościele. W Cinicatti, nieopodal Palermo, po kazaniu, w którem miejscowy proboszcz owieczkom swej parafii barwnem słowem odmalował wszelkie grozy piekła, ukazała się nagle na skinienie księdza czarna postać z rogami i ogonem śród blasku płomienia.

Na widok uosobionego „czarta“ kobiety i dzieci zaczęły krzyczeć przeraźliwie i rzuciły się tłumnie ku wyjściu.

Kilkanaście kobiet zemdlało, jedna przedwcześnie została matką, inna dostała obłędu a dwoje dzieci zdeptano na śmierć w tłoku. Mężczyźni chcieli dostać się do mniemanego dyabła, ale ten zdołał uratować się ucieczką.

* * *

Przed jednym z paryzkich sądów pokoju rozegrał się zabawny proces.

Skarżącym był szanowny obywatel i właściciel kamienicy Roupeau, oburzony i sapiący jak lokomotywa; oskarżonym student medycyny Michał Pouflard.

— Pan Roupeau wyparował mnie w najgorszy mróz z mieszkania — tłomaczy się Pouflard—i to pod pozorem niezapłaconego od dwóch miesięcy komornego. Za to więc pomściłem się wyrządzeniem mu drobnego figla.

— Drobnego figla?—jęczy, zrywając się z krzesła Roupeau. — To figiel? Nie! To była męczarnia Tortury! Moralna śmierć! o którą nas człowiek ten przyprawił.

— Uspokój się pan i opowiadaj — przerywa sędzia.

— W dwadzieścia cztery godzin po opuszczeniu domu naszego przez pana Pouflard, zjawia się w kilku dziennikach naraz ogłoszenie, zwiastujące o gwałtownej u nas potrzebie mamki. — Gdyby pan sędzia był widział, co się wówczas działo! Wszystkie wolne w Paryżu mamki urządziły sobie chyba u nas schadzkę! Była to istna wędrowna mleczarnia! Przez cały dzień musiałem bezustannie paniom tym powtarzać, że nie potrzebujemy mamki gdyż nigdy nie mieliśmy dzieci! Sądziliśmy z początku, że ktoś przez pomyłkę podał fałszywy adres. Lecz nazajutrz cóż za nowe przerażenie! „Szukamy kucharki“ przez dzienniki! My! Wszystkie w Paryżu obecne nimfy kuchenne zbiegły się z przedstawieniem siebie! Co to było wymysłów, klątw nawet, gdy im oświadczyłem, że nie potrzebujemy bynajmniej kucharki, stołując się od dziesięciu lat w restauracyi! Kto mógł nam figla tego wyrządzić? Bezwarunkowo nikt inny, jak Pouflard! — powiedzieliśmy sobie oburzeni, w nadziei jednak, że już będzie koniec temu! Ale gdzież tam! Na trzeci dzień— o niewypowiedziana podłości! Wszyscy znów stangreci bez miejsca, stają przed moim domem, wołając szyderczo:

— Panie Roupeau, gdzie stoją pańskie powozy i konie? Może pojedziemy do lasku bulońskiego?

Nareszcie cierpliwość moja się skończyła! Podałem skargę na pana Pouflard za najście na dom i obrazę honoru! Proszę go przykładnie ukarać!

Student skazany został z przypuszczeniem okoliczności łagodzących, na dwa tygodnie więzienia.

Opuszczając sąd, rzucił się na szyję rozwścieczonemu Roupeau'owi, przepraszając go z udaną skruchą.

Komedyi tej towarzyszył szalony śmiech zebranych w sali kolegów figlarza.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюня 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 28.

(*Dokończenie*).

N. 24. Żabot z gazy i wstążki.

Ułożony z blado niebieskiej gazy i z repsowej wstążki z wązkim atłasowym brzeżkiem 8 cent. szerokiej. Połowę żabotu stanowią dwa wachlarzowo zaplisowane kawałki gazy, po 6 centymetrów długie, przedzielone dwoma końcami wstążki po 8 centymetrów długiem. Druga połowa składa się z trzech końców po 8 centymetrów długich ciętych w ząb i złożonych we dwoje i z sześciu pukli od 4—7 centymetrów długości. Na środku węzeł bardzo ściśle związany.



N. 1. Dzbanek majolikowy.

N. 26—28. Ubranie dla chłopca lat 7—9. Krój na arkuszu N. VI, fig. 22—23.

Majtki z rozporkiem przednim z boku zapinane fig. 22, są z przodu przyszyte z tyłu przypięte do stanika spodniego przykrojonego z podszewki podług fig. 23. Przody bluzy zmarszczone w górze (fig. 24) wszyte są do karczka fig. 25; na wcięciu stanu podszyta listewka do ściągania, oznaczona l i n i j k ą na f i g u r z e 24 i 26.



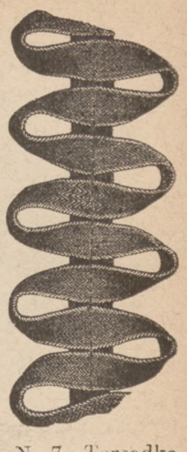
N. 2. Ręcznik kąpielowy. Szlaczek i frendzlę patrz na r. 25 w N. 27·

N. 3. Prześcieradło kąpielowe.

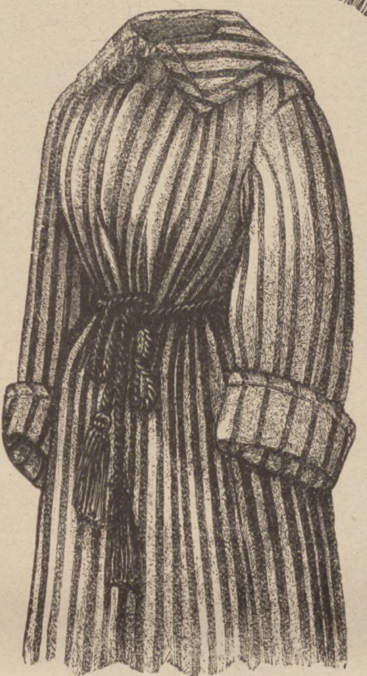
N. 4. Ręcznik tkany na warsztaciku, patrz ryc. 9 w N-rze 27.

N. 5. Ręcznik tkany na warsztaciku, patrz ryc. 20.

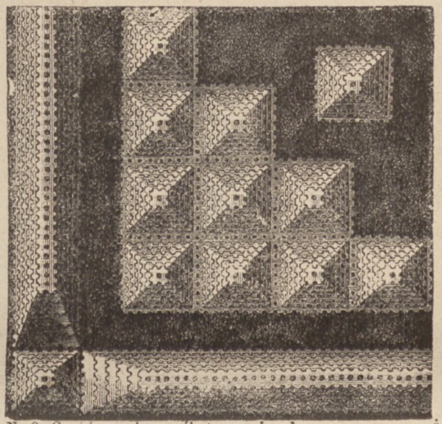
N. 6. Ręcznik z wyszyciem krzyżykowem.



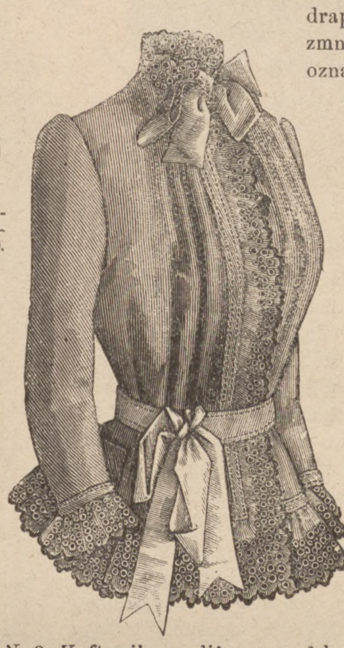
N. 7. Torsadka z taśmy do czepka ryc. 16.



N. 10. Płaszcz kąpielowy z rękawami. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 36—37.



N. 8. Część rzezby naśladowanej z kanwy papierowej do ryc. 7. w N-rze 27.

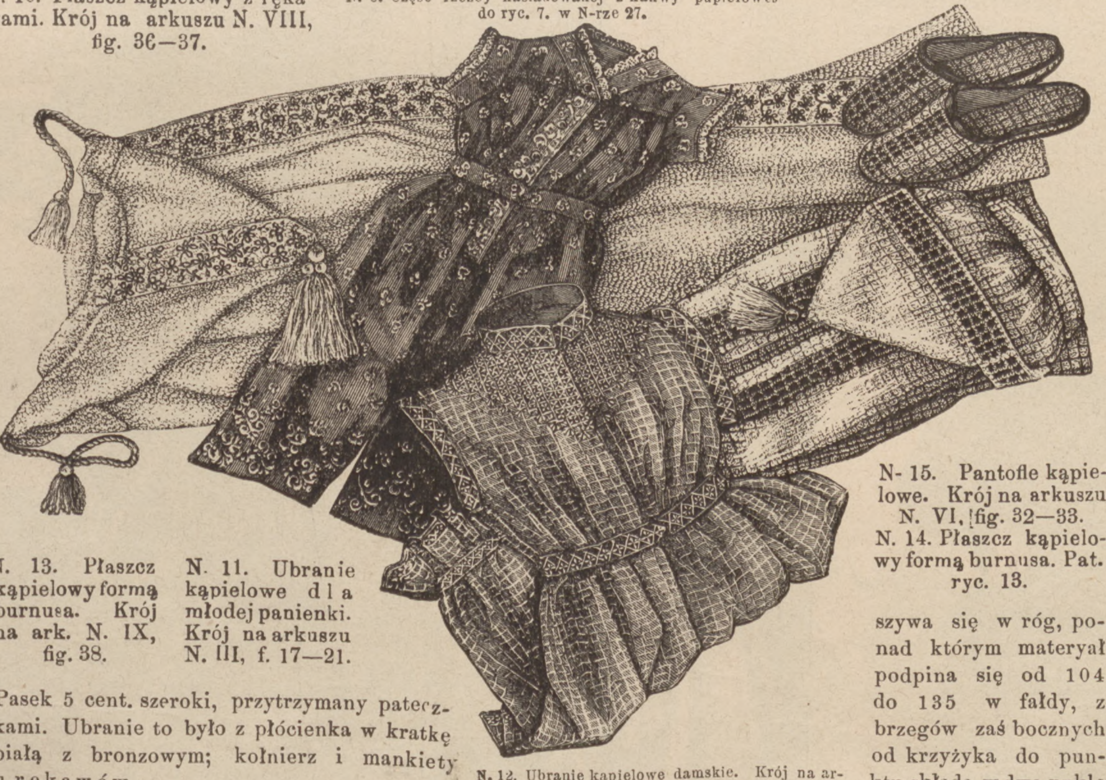


N. 9. Kaftanik negliżowy z falbanką haftowaną. Patrz ryc. 8 w N-rze 27.

i równie jak i plecy założone są w trzy, po 1 cent. głębokie zakładki, w górze poprzecznie przestębnowane. Ubranie z popielatego płócienka zakończone wypustką granatową.

N. 29—30. Suknia z draperyą odmiennie z boków upięta. Krój i lewy bok sukni na ark. N. I, f. 1—11.

Ryciny 29 i 30 przedstawiają przód i plecy sukni z materyału gładkiego i deseniowego, równie odpowiednią na letnie ubranie z kretonu jak na strojniejsze z cienkiej wełny lub materyi. Spódnica podszewkowa zakończona falbanką 8 cent. szeroką przykryta jest materyałem, zaplisowanym w płaskie 9 cent. szerokie fałdy, widocznym między brytami draperyi deseniowej. Cieniowanie na zmniejszonym formacie kroju fig. 10 oznacza na brytach draperyi podszycie gładkim materyałem, wywiniętym w ranwersy. Przedni bryt *a* zwrócony trochę ku lewej stronie i wszyty w pasek, z boków w górze jest ściśle sfałdowany podług znaków, z lewej strony przykładając dwukropkiem do dwukropka dodaje się sfałdowany wązko wachlarzowo boczny bryt *b*, wywinięty wzdłuż w ranwers, onaczony cieniowaniem, przyczem brzeg boczny obraca się do dołu podług f. 11. Drugi brzeg boczny od dwukropka do 19 wszywa się w pasek a przy 45 odwraca się do tyłu sukni. Prawy bryt boczny *c* w górze sfałdowany do 4 c. przyszywa się do paska i spada wzdłuż sukni podług ryc. 30; składając punktem do punktu dodaje się przy brycie *c* panier krajane w jednym ciągu z tylnym brytem *d*, na które ściśle sfałdowany brzeg boczny wraz z brzegiem górnym do 114 w części sfałdowanym, częścią gładko wszywa się w pasek, następnie zaś podpina bryt przez sfałdowanie w skośnym kierunku podług znaczków. Reszta bryta *d* po zeszyciu w róg składając gwiazdką do gwiazdki, spada do tyłu podług ryc. 29 i złożona w płaskie fałdy podług znaków od 1—60 i od 80—90; przyczepia się na sukni. Drugi tylny bryt *e* złożony krzyżykiem do krzyżyka również zaszywa się w róg, ponad którym materyał podpina się od 104 do 135 w fałdy, z brzegów zaś bocznych od krzyżyka do punktu składa w dwa pukle a w górze sfałdowany wszywa do paska. Szyjąc stanik kraje się plecy fig. 4 z podszewki i pokrywa je materyałem gładkim, na środku podług linii cienkiej przemarszczonym kilkakrotnie w górze, u dołu złożonym w drobne fałdki schodzące się do środka, z boków dodane przybranie w kratkę, przykrajane podług fig. 7, złożone w kontrafałdy



N. 13. Płaszcz kąpielowy formą burnusa. Krój na ark. N. IX, fig. 38.

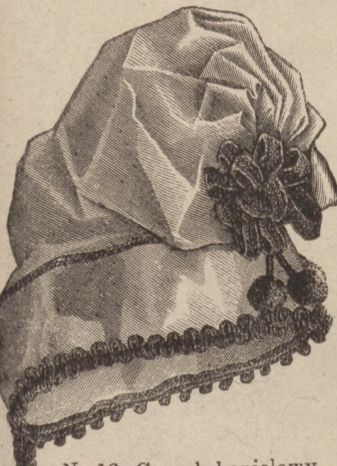
N. 11. Ubranie kąpielowe dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. III, f. 17—21.

Pasek 5 cent. szeroki, przytrzymany pateczkami. Ubranie to było z płócienka w kratkę białą z bronzowym; kołnierz i mankiety u rękawów sfałdowanych podług znaczków są z brązowego atłasu.

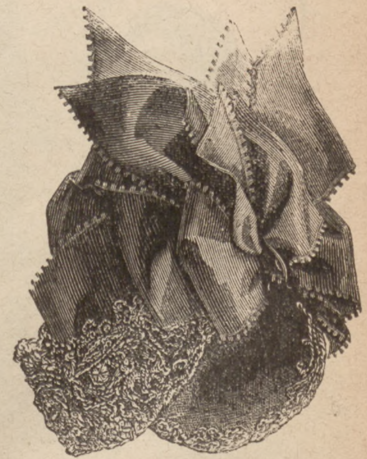
N. 12. Ubranie kąpielowe damskie. Krój na arkuszu N. II, fig. 12—16. Patrz ryc. 17.

N- 15. Pantofle kąpielowe. Krój na arkuszu N. VI, fig. 32—33.

N. 14. Płaszcz kąpielowy formą burnusa. Pat. ryc. 13.



N. 16. Czepek kąpielowy. Patrz ryc. 7. Krój na ark. N. VII, fig. 34—35.

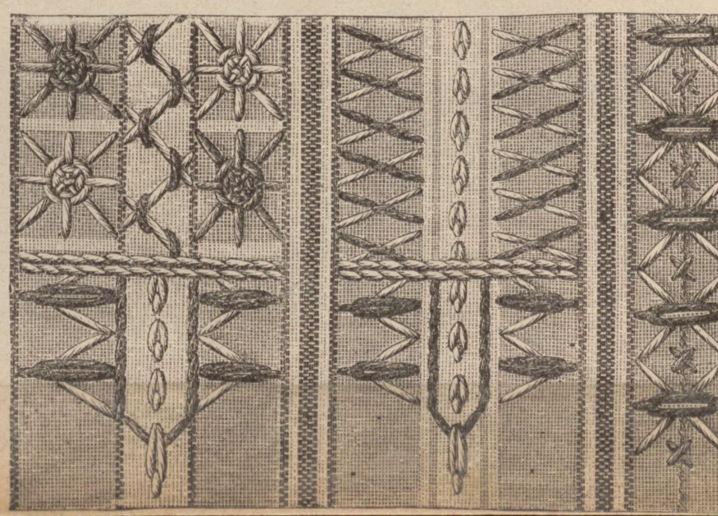


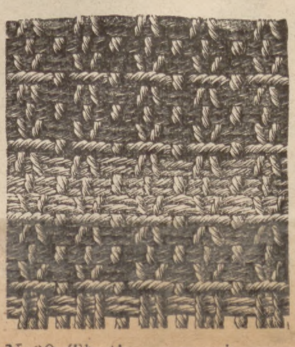
N. 18. Toczek z wstążki

N. 27. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5

Można je dopasować zmniejszając odpowiednio formę daną przy ryc. 26; przody krają się w jednym ciągu







linia cienka na fig. 3), dolne zakończenie fałdów w karoczko wskazuje ryc. 29. Na przodach z podszewki zapiętych środkiem na kryte haftki, dany plastron fig. 6, w górze zmarszczony kilkakrotnie, u dołu wszyty w pasek 7 cent. długi, z jednej strony stale przyszyty, z drugiej przypinany. Fig. 5 daje formę części chusteczkowych z deseniowego materyału (lewa pod spód zachodząca połowa kraje się podług linii cienkiej), oddzielnie opatrzonych zaszewkami, przemarszczonych na ramionach i od gwiazdki do dwukropka wpuszczonych w szew, od J do K wzdłuż linii cienkiej na fig. 1 przyszytych mocno do stanika. Kołnierzyk stojący 4 cent. szeroki zapięty z boku. Rękawy i mankiety krajać podług fig. 8—9; szarfa 12 cent. szeroka zakończona grelotkami po 26 cent. długiemi.

N. 31. Suknia haftowana. Patrz fig. 60 na arkuszu z krojami.

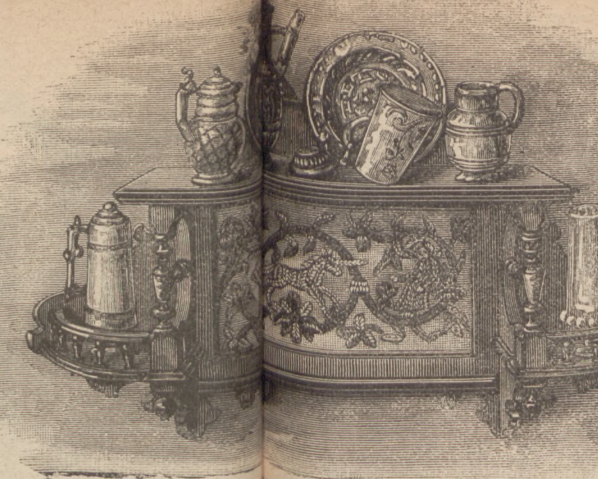
Kolorowe batysty usunięte na długi czas z użycia, znowu powołane są przez modę na letnie suknie. Rycina 31 przedstawia suknię crême z prawego boku naszytą dwoma gładkiemi falbanami drobno zaplisowanemi, dalsze przybranie, draperyę i stanik stanowi wolant 95 cent. długi, 53 cent. szeroki haftowany pąsowo z niebieskim. Na staniku wolant obrócony jest w ten sposób iż haft dolny stanowi brzeg podłużny połowy przodu zachodzącej na wierzch, jak to rycina 31 wskazuje. Na draperyę potrzeba 450 cent. wolantu którego jeden brzeg boczny sfałdowany wszywa się w pasek, od szwa bocznego aż do środka sukni a brzeg górny wysuwa się w pukiel luźno spuszczony 19 cent. długi. Dalej brzeg górny fałduje się podług ryc. 31 na 8 cent. szeroko z przodu, z boku ku tyłowi gładko wszywa w pasek, z tyłu przy rozporku sukni spuszcza luźno 100 cent. i nakoniec zakłada w dwa pukle i kilka fałdek i wszywa do paska; brzeg boczny spada do dołu podług fig. 60. Z lewej strony rozporka podpina się wolant do 53 cent. długości, przez złożenie kilku fałd poprzecznych, do których przyszywa się haftkę zaczepianą za pentelkę na baskinie stanika, pod sutą kokardą z wstążki pąsowej repsowej.




N. 21—22. Uczesanie „Diana".



N. 23. Żabot z chusteczki koronkowej.



N. 25. Półeczka [illegible] patrz N. 15 na arkuszu.



N. 27. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.

N. 28. Ubranie dla chłopca lat 7—9. Krój na arkuszu N. IV, fig. 22—29. Patrz ryc. 26.

N. 32. Kapotka ażurowa.

Piaskowa ażurowa kapotka ma rondko wygięte w ząb nad czołem podpięte dyademowo kwiatem heliotropu danym do cieniu. Z wierzchu główki kokarda z wstążki z pikotami piaskowej i heliotrop, 6 cent. szerokiej, takież końce do wiązania.

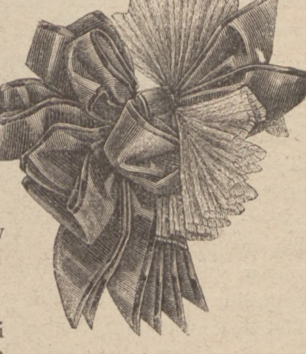


N. 29—30. Suknia z draperyą odmiennie z boków upiętą. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—11.

N. 31. Suknia haftowana. Patrz fig. 60 na arkuszu.



N. 26. Plecy do ryc. 28.



N. 24. Żabot z wstążki i gazy.

N. 35. Suknia z długim stanikiem, dla dziewczynki lat 6—8. Patrz rycinę 19 w N-rze 27.

Odrobiona z pąsowej materyi surah i żółtawej nicianej koronki, wyszywanej kolorowym jedwabiem. Spódniczka jedwabna jest drobno zaplisowana na gładkiej podszewkowej, koronkowa zwierzchnia jest lekko namarszczona. Stanik na gładkiej podszewce jest drobno zaplisowany, zapięty z tyłu na kryte haftki; boczki, epolety i oryginalne przybranie w kształcie szpiczastych zębów, spuszczonych wzdłuż przodu i pleców (patrz ryc. 19 w N. 27) jest z koronkowego materyału. Szarfa z materyi surah z końcami zmarszczonemi, zakończonemi siepaną materyą.



N. 35. Sukienka z długim stanikiem, dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 19 w N-rze 27.

N. 36. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 17 w N-rze 27. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 53.

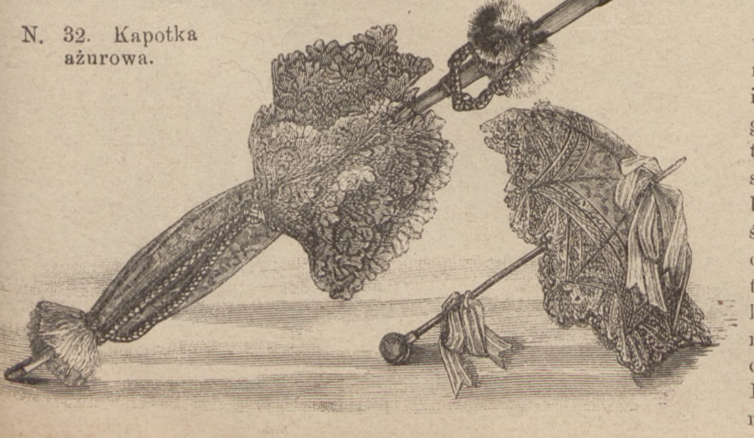
N. 37. Suknia z krótką draperyą. Patrz ryc. 16 w N. 27.



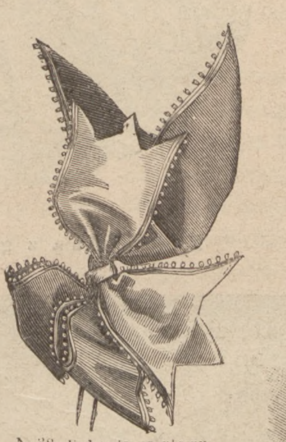
N. 32. Kapotka ażurowa.

N. 36. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 17 w N-rze 27. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 53.

Materyał wełniany heljotrop w drobne paski i miękki cieniutki biały materyał zwany letnią flanelką, użyte są na suknię przedstawioną na ryc. 36 w dzisiejszym i na ryc. 17 w N-rze 27 Tygodnika Mód. Pierwszy użyty jest na drobno plisowaną spódnicę i bretelkowe przybranie stanika, którego części środkowe jak również draperya są z gładkiego materyału; pasek, szmizetka, kołnierzyk stojący, paski z marszczonych rękawów są z ciemnego aksamitu heljotrop. Fig. 53 daje wymiar draperyi: *a* oznacza połowę bryta przedniego; ściśle zebrane



N. 33—34. Parasolik z koronką.

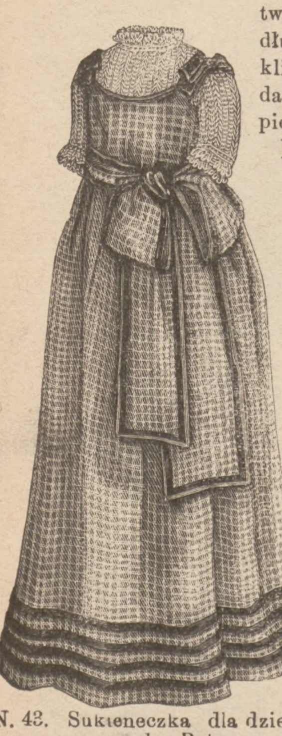


N. 38. Kokarda do głowy.

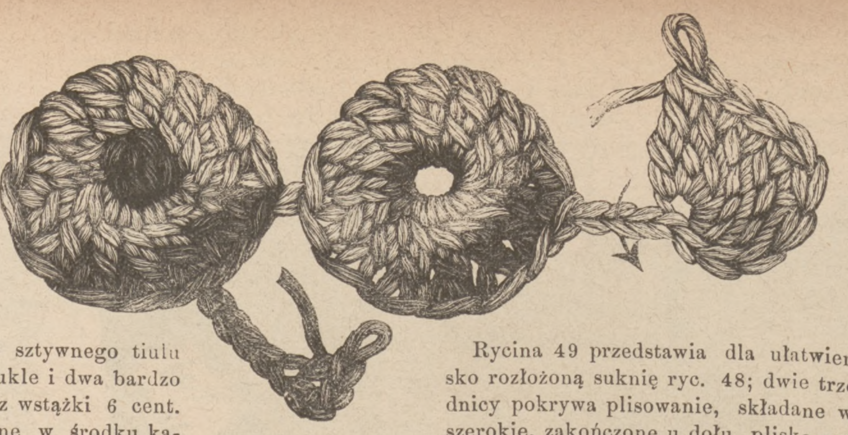



N. 39—40. Kapelusz słomkowy.

fałdy brzegów bocznych, podniesione są aż do fałd brzegu górnego, z którego przytem tworzy się pukiel złożony gwiazdką do gwiazdki. Boczne brzegi tylnego bryta *d* ściśle sfałdowane podniesione są aż do paska; brzeg górny bryta tworzy złożony podług znaków pięć pukli, między któremi dane są lekkie podpięcia.



N. 43. Sukieneczka dla dziecka noszonego na ręku. Patrz ryc. 44. Krój na arkuszu N. X, f. 39—41.



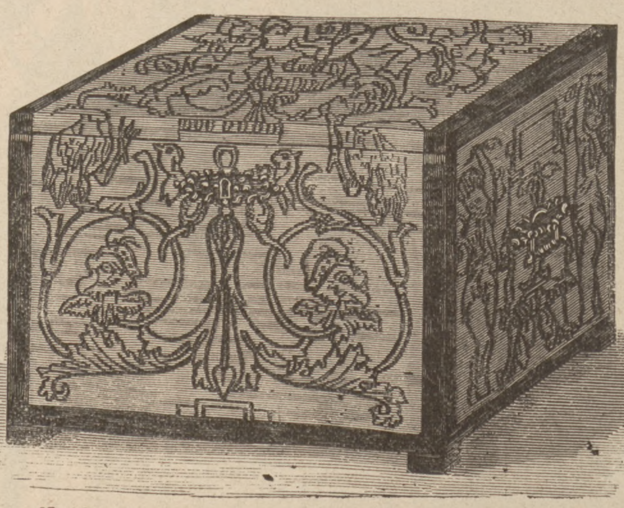
N. 41. Wykonanie szydełkowego szlaku w wypukłe rozetki, patrz ryc. 13 na odwrotnej stronie arkusza z krojami.

N. 38. Kokarda do głowy.

Na podstawie ze sztywnego tiulu przyszywa się dwa pukle i dwa bardzo skośno ścięte końce z wstążki 6 cent. szerokiej, przewiązane w środku kawałkiem równie szerokiéj jasnej wstążki, wyciętej na końcach w podwójne zęby.

N. 43—44. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku. Krój na arkuszu N. X, fig. 39—41.

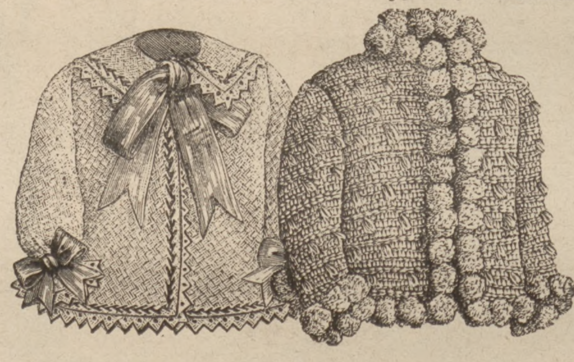
Sukienka z wełnianego lub letniego materyału, z tyłu przez całą długość nie zeszyta, ma prosty staniczek krajany podług fig. 39. Spódniczka z prostego kawałka materyału (fig. 40) składa się w górze w fałdki 2 cent. głębokie, wpuszcza między podszewkę i wierzch stanika i przystębnowywa od gwiazdki do dwukropka. Przy szpiczasto ściętych plecach, zachodzących na siebie przyszyte są końce po 10 cent. szerokie, 80 długie, w górze zebrane do 4 cent., jeden koniec przewleka się przez otwór obrobiony z boku i obydwa wiążą się z przodu w kokardę. Zamiast ramiączek dane końce do wiązania, przyszyte przy krzyżyku i punkcie. Pod sukieneczkę kładzie się kaftanik batystowy, z piki, dymki, robiony na drutach lub szydełkowy.



N. 42. Szkatułka drewniana z wypalanym deseniem.

N. 45—46. Kaftaniki dla dzieci. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 49.

Uszyty z wełnianego mataryału kaftaniczek ryc. 45 zakończony był ząbkami i wyszyciem ściegiem cierniowym; kokardki z kolorowej wstążki. Rycina 46 przedstawia kaftanik z materyału tkanego na warsztaciku ręcznym; próbkę roboty daje N. 14 na odwrotnej stronie arkusza z krojami.



N. 45—46. Kaftaniki dla dziecka. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 49.



N. 48. Suknia z deseniowego materyału z sutem upięciem. Patrz ryc. 49. Krój na arkuszu N. XV, fig. 48.

N. 47. Torsadka szydełkowa.

Odpowiednia do przybrania sukien, robi się z czarnego lub kolorowego kordonku, i złotego sznureczka, rzędami tam i napowrót, szerokości dowolnej. Jak to widać na ryc. 47 daje się naprzemian 5 słup. dwa razy nawijanych i 3 o. pow., pod któremi krzyżuje się sznureczek wrabiany środkiem słupków, w sposób widoczny na rycinie.



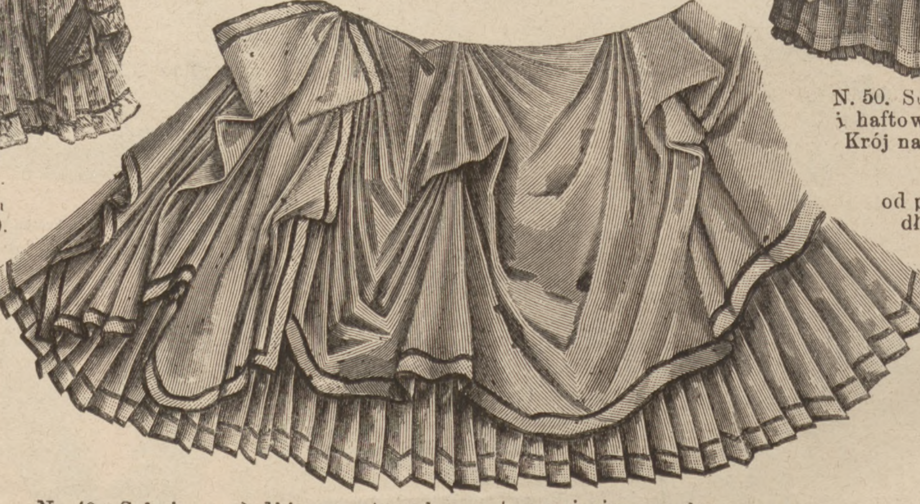
N. 47. Torsadka robiona szydełkiem. Do sukien okryć i t. p.

N. 48—49. Suknia suto upięta, z gładkiego lub deseniowego materyału. Krój na ark. N. XV, fig. 48.



N. 44. Sukieneczka dla dziecka. Plecy do ryc. 43.

Rycina 49 przedstawia dla ułatwienia upięcia płasko rozłożoną suknię ryc. 48; dwie trzecie części spódnicy pokrywa plisowanie, składane w fałdki 5 cent. szerokie, zakończone u dołu pliską z wypustkami; takaż pliska zdobi tunikę. Górny brzeg przedniej części draperyi (patrz *a* na fig. 48) której środek oznacza linia kropkowana, fałduje się podług znaków, między któremi wszywa gładko do paska. Fałdy przy 210 kończą się kontrafałdą; przy 240 marszczy się trochę i tu dochodzą fałdy bocznego brzega; przy krzyżyku i punkcie poniżej 27 i 37 cent. podpięcie dochodzi do paska. Tylny bryt *b* jest w górze krzyżykiem do krzyżyka i gwiazdką do gwiazdki złożony w dwa pukle przyczepione do paska, zaś pukiel złożony podług dwukropków przyczepia się z boku do sukni. Parę podpięć dane jeszcze podług znaków.



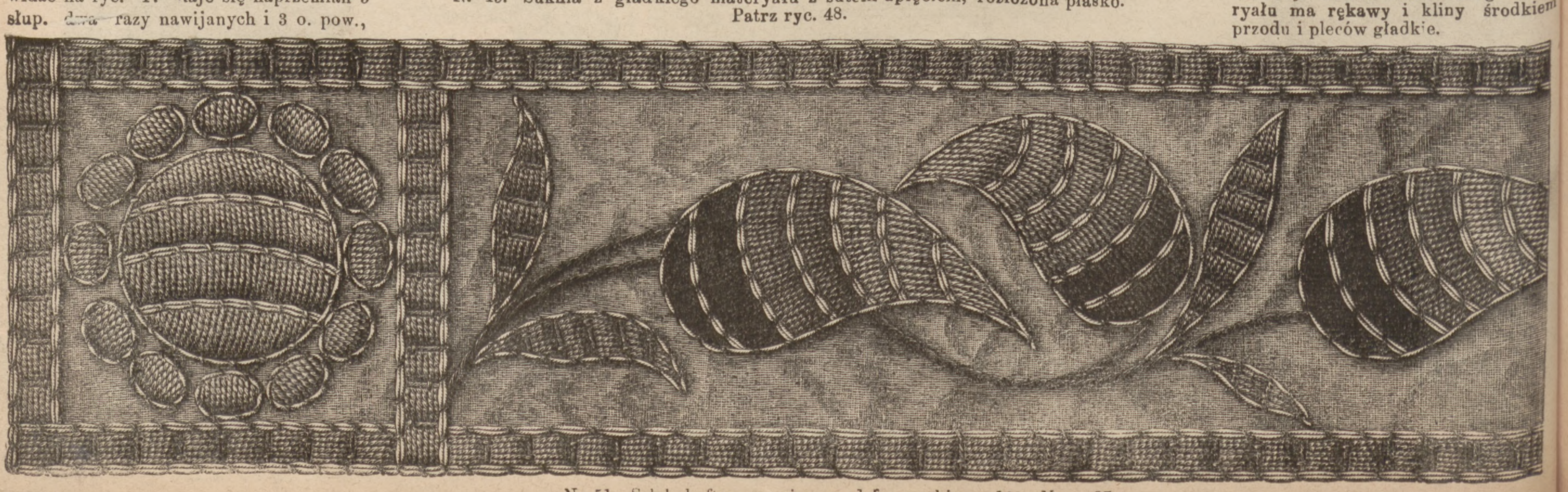
N. 49. Suknia z gładkiego materyału z sutem upięciem, rozłożona płasko. Patrz ryc. 48.

N. 50. Suknia z gładkiego i haftowanego materyału. Krój i plecy na arkuszu N. XVIII, fig. 51—52.



N. 50. Suknia z gładkiego i haftowanego materyału. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 51—52.

Gładki blado żółty kanwowy materyał i takiż haftowany biało w maszynie, użyte są na ładną i w dobrym guście suknię r. 50, którą wraz ze stanikiem przedstawia f. 52 na ark. z krojami. Spódnica podszewkowa z satynki oszyta u dołu drobniutkiem plisowaniem, przykryta jest wolantem 30 c. szerokim, z lewego boku sięgającym aż do paska. Tunika ma część a (fig. 51) z haftowanego materyału; brzeg górny częścią sfałdowany podług znaków częścią gładko wszywa się w pasek linia kropkowana oznacza środek przodu. Fałdy złożone poniżej 93 są w odstępie 10 cent. od paska przyszyte do sukni pod kokardą, podług r. 50; lewy brzeg boczny zachodzi pod plisowanie boczne sukni, prawy zaśłączy się z brytem tylnym c podpiętym od 22 do 40. Po oszyciu bryta c koronką zszywa go się z fałdowanym brzegiem górnym z bryt. b Wachlarzowe fałdowanie draperyi tylnej tworzy się przez sfałdowanie górnego i bocznego brzegu bryta b, przyczepiając niewidocznie fałdy do sukni. Górny brzeg tylny opatrzony po sfałdowaniu paroma haftkami, którem i przypina się na baskinie stanika, pod sutą kokardą z wstążki atłasowej. Stanik z haftowanego materyału ma rękawy i kliny środkiem przodu i pleców gładkie.



N. 51. Szlak haftem renaisance, do serwetki ryc. 18 w N-rze 27.